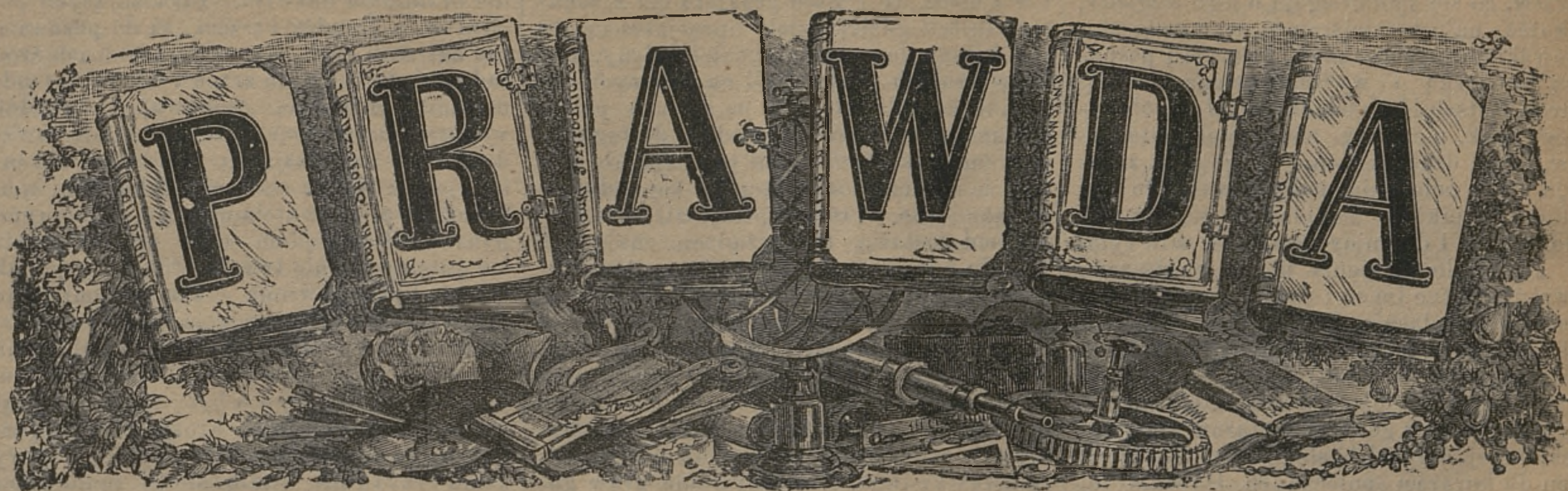
№ 43. Warszawa, dnia 27 (15) Października 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem) W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych. Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7. Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

BEZ RADY.

Gdyby nawet dolatujące ze wszech stron wiadomości o nieurodzajach nie zapowiadały nam na zimę dotkliwej drożyzny, obecne ceny niektórych produktów już by ją dały uczuć. Trzy artykuły najważniejsze dla tych, którzy nie z rublami, ale z groszami się liczą: chleb, kartofle i cukier — znacznie podskoczyły w cenie i niewątpliwie podnosić się będą coraz wyżej. Naturalnie ten smutny postęp nie ograniczy się na pewnych płodach i wyrobach, lecz oddziała na całe życie materyalne społeczeństwa, tak jak na nie oddziaływa corocznie — oddawna. W ostatnich dwudziestu, a nawet dziesięciu latach warunki bytu tak dalece u nas się zmieniły, że trudno nam uwierzyć różnicy z porównawczego zestawienia cen, które często stają obok siebie tak zdziwione, jak gdybyśmy je wzięli z odstępu stuletniego. Idziemy zaś w tym kierunku szybko i ciągle a nie widzimy końca. J. Paul powiedział, że „ubóstwo jest jedynem brzemieniem, które staje się tem cięższe, im więcej ludzi go dźwiga;" otóż u nas jest ono chyba możliwie najcięższem, bo z wyjątkiem szczupłej garstki szczególnie przez los obdarzonych, spada na ramiona ogółu, gniecie zarówno rzemieślników, jak urzędników, ziemian, kupców, artystów itd. Łatwość zarobku nie łagodzi walki z niedostatkami, a jego pozorna wysokość nie może podołać najkonieczniejszym potrzebom. Cóż z tego, że dziś nauczyciel pobiera dwa razy większą pensyę, niż niedawno jeszcze, kiedy chleb, mięso, buty itd. kosztują trzy razy drożej?

Nie licząc tego wzrostu cen, który jest dalszym ciągiem ogólnego procesu ekonomicznego i skutkiem przyczyn głębiej tkwiących, obecna doba — jak rzekliśmy — ma swoją własną biedę z powodu nieurodzaju lub złych zbiorów tegorocznych. Płodność buraków i kartofli zmniejszyła się, zboża ucierpiały od deszczów. Zima zatem dla klas uboższych może być bardzo dotkliwą. Jak się ubezpieczyć? Nic łatwiejszego nad projekt, a nic trudniejszego nad praktyczną radę. Już nawet ze strony urzędowej, mianowicie w zarządzie gospodarczym Warszawy, rozmyślano nad środkami przeciw drożyznie i nawet wskazywano wyjście (ustanowienie taks), które jednak, po bliższem zbadaniu, okazało się bardzo ryzykownem. Lepszego pomysłu nikt nie urodził i nie urodzi. Bo — według naszego przekonania — sposobu na to nie ma. Artykuły żywności pozostaną drogie bez względu na to, czy ich ceny będą wynikiem swobodnego współzawodnictwa, czy też normą nakazaną. Jak nikt chorego na tyfus nie wyleczy krzyknięciem, tak żaden rozkaz nie zmieni nastroju targów, zależnych od wewnętrznego stanu społeczeństwa i jego stosunków ekonomicznych na zewnątrz. Jeżeli niemiec, płacąc talara za nasz produkt, płaci półtora rubla, tj. przelicytowywa nas o 50%, cóż my możemy temu poradzić, nie mając przecie fabryki rublów?

Nie chcemy przeczyć, ażeby jakiś organ dobroczynności publicznej w mieście lub gminie nie pomógł ubóstwu, ażeby miłosierdzie nie złagodziło cierpień tej lub owej nędzy; ale były to i będą w najlepszym razie cząstkowe ulgi, cząstkowe ratunki dla najuboższych. Ogół wszakże ani nie może z tej drogi korzystać, ani nie skorzysta. On poprawę swej doli otrzymuje tylko z poprawy ogólnego stanu ekonomicznego. Ponieważ zaś stan ten nie da się przekształcić żadnem życzeniem, żadną dziennikarską receptą, więc zamiast bogacić projekty o jedno więcej rojenie, poprzestajemy na zaznaczeniu faktu, że rok obecny wnosi do naszego budżetu nowy przyrost długów. Jak zaś nad pomnożeniem ich pracuje zagranica, dość spojrzeć na sprawozdania giełdowe. Mimo względnego spokoju, mimo znikających obaw wojny, rynki obce, zwłaszcza niemieckie, trwają przy najniższym kursie rubla. Ich uzuchwalony przewagą talar staje z nami do licytacyi na nasze własne, najważniejsze produkty, i albo nam ich wydziera, albo podnosi ich cenę do niebywałej wysokości. Dopóki poczciwa ziemia swą hojną płodnością rzuca na szalę obfite urodzaje, walka bywa znośną, ale gdy, jak obecnie, nie zdoła być szczodrą; natychmiast odczuwamy dotkliwe skutki ekonomicznego upośledzenia. Lud wiejski — dzięki nadzwyczajnej prostocie swych potrzeb i szczęśliwszym warunkom — może najmniej cierpi; ale klasy niższe i średnie w miastach żyć muszą obarczone ciężkim niedostatkiem.

ANTISEMITYZM.

Wszystko to złe, co się u nas, na Węgrzech, w Niemczech, wszędzie o żydach pisze i mówi, o ile się nie składa ze świadectw fałszywych i nie wypowiada ustami od gniewu spienionemi, na słusznych opiera się racyach. Żydzi w społeczeństwach, w które się wkluczyli, pełnią niekoniecznie piękną, nie nader zaszczytną i wcale nie wesołą funkcyę — wrzodów ropiących. Są powodem i zarazem okazem choroby chronicznej, choroby, z którą społeczeństwom niedogodnie i im nie całkiem dogodnie: za dogodność bowiem uważać nie można położenia wystawionego na niechęć ogólną a ustawiczną, zmieniającą się od czasu do czasu w objawy tego rodzaju, jakich, w oczach naszych, były teatrem: Rumunia, Węgry, południowe prowincye Rosyi, Warszawa nawet. Nie — to nie miło, mieszkać w kraju i czuć się zającem pod miedzą. Uczucie takie wspólnem jest: bankierowi w stoli-

licy, rozsiadającemu się na aksamitach i dającemu posłuchania ambasadorom mocarstw, co się spółubiegają o jego względy, jakoteż najostatniejszemu w miasteczku litewskiem łapserdakowi, żyjącemu pospolitą szacherką i wyszachrowaną cebulą. Baron Rotschild i obdarty, brudny, obrzydliwy Icek, pierwszy wierzyciel potentatów, drugi dłużnik ziemi, co go nosi, znajdują się w położeniu jednakowem, to jest takiem, w jakiem znajdować się zwykli wierzyciele i dłużnicy, zarówno mili tym, co z nimi do czynienia mają. Społeczeństwa niechętne im są i oni społeczeństwom niechęcią odpłacają. Wet za wet. Stosunek taki jest okropnym. Człowiek każdy o byt walczy, jeden o zdobycie go, drugi w obronie tego, co zdobył, walczy atoli nie pod wywieszonym z góry sztandarem niechęci wzajemnej, ale pod hasłem równości roszczeń do korzyści społecznych. Do walki tej wchodzą namiętności, co ją rozjątrzają, aż do stopnia nienawiści. Nienawiść atoli największa ma charakter przypadkowy i okolicznościowy. Na sztandarze jej nie ma. Zmiana okoliczności bądź ją usuwa całkowicie, bądź też modyfikuje jej doniosłość. Jest to proces, który się rozegrywa dziś pomyślnie, jutro niepomyślnie, przechodzi fazy rozmaite, lecz nie urabia tego wstrętu stałego, jaki charakteryzuje stosunek wzajemny pomiędzy żydami a społeczeństwami, które im gościnności udzieliły.

Skąd się objaw ten wziąść mógł? Czy nie z gościnności? „Gość w dom, Bóg w dom.“ Z praktyki jednak wiadomo, że gość najpożądańszy po kilku dniach pobytu powszednieje, dalej obojętnieje, później nudzi, następnie zawadza, w końcu nieznośnym się staje.

Dzieje nie podają nam wiadomości o pierwotnem żydów do Europy przybyciu. Kiedy mówią o nich, są już oni osiedli nie od dziś i nie od wczoraj; już się na miejscu rodzili ojcowie i praojcowie ich; już się trudnią handlem i przemysłem. Osiadłość tę wszelako zaznacza wszędzie cecha wyjątkowości. Są to goście, co w pierwszych chwilach swego przybycia doznali przyjęcia dobrego—inaczej bowiem nie byliby się zasiedzieli; lecz — zasiedzieli się i nieznośnymi się już stali. A więc—hajże na nich! Tak było w Hiszpanii, we Włoszech, we Francyi, w Niemczech, w Węgrzech, wszędzie i w Polsce. W Polsce przyjęto ich z większą, aniżeli gdzieindziej, uprzejmością; co zaś więcej, dano im przytułek wtedy, kiedy w krajach innych byli na krzyżach rozpinani, na pale wbijani, na stosach paleni i w smole smażeni. Prowadził do tego fanatyzm. Tak. Temu atoli przeczyć nie można, że z fanatyzmem łączyły się podnιety ekonomiczne, które się przejawiły i w Polsce pod postacią rozporządzeń, mających na celu ograniczenie swobody ruchów żydowskich w zakresie handlowym. Zakazy rozmaite, tyczące się sprzedaży artykułów pewnych, kupowania w godzinach oznaczonych, zamieszkiwania po miastach przy ulicach niektórych itp., nie z fanatyzmu pochodziły. Odnosiły się one do przybyszów, posądzanych (słusznie lub niesłusznie, to kwestya inna) o nadużywanie praw gościnności—o uzurpowanie prerogatyw gospodarskich. Pretensye o to stanowią rodzaj przygrywki, powtarzającej się ustawicznie za każdem ustawodawczem i innem sprawy żydowskiej potrąceniem. Niekiedy ukazują się one wyraźnie i sprowadzają rezultaty smutne. W wojnach kozackich występują jako jedna z pobudek, która się ubrała w formy hasła rymowanego: „Lach, żyd, sobaka, wira jednaka.“ Kozacy upominali się w manifestach o odsadzenie żydów od myt na przewozach, od rybołostwa, szynkowania wódki, zadzierżawiania gruntów i młynów. Goście stali się nieznośnymi i, jeżeli nie w wyższym, to w równym co jezuici, stopniu przyczynili się do sprowadzenia na Polskę tej zawieruchy straszliwej, bez której by się ona obeszła była. Ci dęli w miechy fanatyzmu, ci zakładali pompy ekonomiczne, wywołując niezadowolenie, zawichrzenia i odwzajemniając się — jedni i drudzy—w sposób ten za gościnność.

Nie czynimy żydom wyrzutów spóźnionych; zaznaczamy tylko fakty dla wykazania przyczyny, która spowodowała niechęć wzajemną. Rezultaty byłyby inne, gdyby przybysze w innym do ludności miejscowej stanęli stosunku. W społeczeństwo polskie obcych żywiołów wsiąknęło nie mało. Bywały doby, w których napływali do Polski niemcy; Witold Litwę tatarami zaludniał; szukali w Polsce przytułku ormianie. Pierwszych ani poznać, chyba wedle brzmienia nazwisk, zdradzających pochodzenie. Drudzy i trzeci są do poznania; nie zatracili cech, wyróżniających ich śród ludności; tatarzy nie zrzekli się religii odmiennej, ormianie zachowali obrządek własny: mimo to społeczeństwu nie zawadzali i nie zawadzają, a to z racyi nie innej, jeno z tej, że stali się członkami społeczeństwa, obywatelami kraju, poddanymi państwa. I względem nich praktykowała się gościnność, ale trwała tak długo, jak trwać była powinna. Po przeminięciu pierwszych chwil przyjęcia, stanęli do warsztatu pracy ogólnej na równi z polakami; ci się jęli rzemiosł, owi roli, tamci handlu; krzątali się, walczyli o byt, ale o byt, idący na rachunek ogółu, który ich przygarnął, na rachunek interesu ogólnego, który sobie przyswoili. Stało się to samo przez się—bez nacisku ze strony jednej, bez oporu z drugiej. Nie było oporu, nie było więc nacisku—zresztą dawna rzeczpospolita polska odznaczała się nieudolnością w naciskaniu, zwłaszcza gdy tego potrzeba zachodziła.

Nienaciskani niemcy, tatarzy, ormianie spolonizowali się; nienaciskani żydzi zachowali odrębność swoją, zostali narodem w narodzie, przy warsztacie miejscowym stanęli, lecz jako organizm obcy, z obcymi krajowi widokami i celami.

Tak się fakt wyraził. Przezorność nakazywała fakt ten usunąć. Przezorność jednak nie była zaletą przodków naszych. Ci, co krzyżaków sprowadzili i jezuitów zaprosili, nie mogli wymyślać i chwytać się sposobów, prowadzących, bądź do pozbycia się żydów, bądź do zasymilowania ich. Są wszelakoż poszlaki, świadczące, że w tym ostatnim kierunku były usiłowania niejakie. Postanowienia względem żydów przyjmujących chrzest znamionowały wielka ze strony szlacheckiego, przejętego doniosłością prerogatyw swoich narodu, wspaniałomyślność. „Zrównajcie się z nami, my was do grona swego przyjmiemy.“ Wziąwszy na uwagę duch czasu i nastrój umysłów, więcej wymagać nie można chyba. Podczas kiedy chrześcianin, ażeby do stanu uprzywilejowanego przypuszczonym być mógł, potrzebował składać dowody za-

WESOŁA NAUKA*).

Godność głupoty. Kroczmy jeszcze parę tysięcy lat torem dziewiętnastego stulecia, a wszystkie czyny nasze będą nacechowane najwyższą mądrością: ale cóż, kiedy wówczas właśnie mądrość ta straci cały swój urok! I wtedy wprawdzie rozum będzie rzeczą niezbędną, ale tak zwyczajną i powszednią zarazem, że wybredniejszy nieco smak w konieczności tej odczuwać zacznie pospolitość. A jak tyrania prawdy i wiedzy mogłaby wysoko w cenie podnieść kłamstwo, podobnie tyrania mądrości stworzyłaby nową wzniosłość. Być wyższym—oznaczałoby może wtenczas: mieć zajączki w głowie.

Ostatnie słowa. Przypominacie sobie zapewne, że cesarz August, ów straszny człowiek, co umiał panować nad sobą i milczeć, niby drugi Sokrates, w ostatnich, przed śmiercią wyrzeczonych wyrazach zdradził sam siebie. Po raz pierwszy zrzucił on maskę z twarzy w chwili, gdy dał do zrozumienia, że kiedyś maskę nosił i że grał komedyę, udając na tronie ojca ojczyzny i mądrość z łudzącą dokładnością. „Oklaskujcie, przyjaciele, komedya skończona!“ Myśl umierającego Nerona: „jakiegoż artystę tracicie we mnie!“ — była myślą konającego Augusta. O próżny i gadatliwy histryonie! I to jak gdyby dla kontrastu z gasnącym Sokratesem! Inaczej Tyberyusz: przynajmniej był szczerym, ten największy męczennik ze wszystkich samodręczycieli. Co mu przechodziło przez głowę w chwili dogorywania? A może to: „Życie — to długie i powolne konanie. A ja, głupiec, tylu śmiertelnikom je skróciłem! Czyliż byłem stworzony na to, by zostać dobroczyńcą? Powinienem był raczej dni ich przedłużyć w nieskończoność— a widziałbym ich wiecznie konającymi. Toż dlatego miałem tak dobre oczy: „Jakiż we mnie widz umiera!“ Gdy po długich zapasach ze śmiercią zdawał się powracać do sił, uznano za odpowiednie dodusić go poduszkami. Umarł podwójną śmiercią!

Przeciw żalowi. Myśliciel postępowaniem swojem stwarza sobie szereg zagadnień i usiłuje je rozwiązać; wynik pomyślny czy niepomyślny jest dla niego przedewszystkiem odpowiedzią. Ale gniewać się, że go jakieś wyrachowanie zawiodło lub nawet martwić się—nie umie. Pozostawia on to ludziom, którzy pracują na rozkaz, którzy mogą spodziewać się chłosty, jeśli pan raczy być z nich niezadowolonym.

Żądza cierpień. Gdy rozmyślam nad ową żądzą czynu, która bezustannie swędzi i kłuje miliony młodych europejczyków, niemogących znieść swej nudy i samych siebie, dochodzę do wniosku, że musi w nich istnieć jakieś pragnienie cierpień, jakiś popęd do niebezpieczeństw, który ich zniewala do działania; tym sposobem otwiera się ujście niepohamowanemu parciu do czynu. Niedole stały się czemś koniecznem! Stąd owe krzyki polityków, stąd mnóstwo kłamanych, zmyślonych i przesadzonych „niedoli“ wszelkich możliwych klas i ślepa gotowość uwierzenia w nie. Młode pokolenia chcą, ażeby — nie radości bynajmniej—ale nieszczęścia przybywały z zewnątrz lub stawały się widocznemi. Ich wyobraźnia zawczasu pracuje nad przekształceniem urojeń w potwory, by mogła następnie z potworami walczyć. Gdyby ci, co tak pragną społecznych trosk, mieli dosyć siły do szperania w tajnikach własnych dusz, potrafiliby niewątpliwie we wnętrzu swem odkryć niejedną niezaspokojoną potrzebę. Odkrycia byłyby wówczas trafniejsze, a zadosyćuczynienia brzmiałyby jak piękna muzyka: tymczasem dziś niepokoją oni świat okrzykami, napełniając go zgrozą i strachem. Nie wiedzą, co z sobą począć, i wystawiają ciągle na widok nieszczęścia innych: wciąż potrzeba im innych. Innych i innych! Wybaczcie, moi przyjaciele, ale ja odważyłem się odmalować swoje nieszczęście.

*) Popularny i wielostronny pisarz niemiecki, Fryd. Nietzsche, w świeżo wydanej pod powyższym tytułem pracy, zawarł rodzaj systematu życiowo-filozoficznego, a wyłożył go lekko i powabnie w oddzielnych aforyzmach. Niektóre z nich podajemy czytelnikowi w przekładzie.

sług szczególnych, dla żyda było dosyć chrzest przyjąć. Że żydom to nie wystarczyło, to ich rzecz. Że się upierali przy oczekiwaniu na przyjście mesyasza i trzymaniu się oburącz objaśnionej przez talmudzistów i kabalistów wiary przodków, to zasługuje jeno na zaznaczenie, jako kamień obrazy, który gwałtem tylko usuniętym być mógł. Do gwałtu się naród szlachecki nie uciekał i tak to pozostało. Gościnność ciągnęła się przez wieki; gości przezwano „pijawkami“ i wynajdywano na nich rozmaite środki i środeczki do niczego nieprzydatne, chyba do tego, ażeby niechęć wzajemna zajątrzała się coraz to bardziej i usprawiedliwiała w sumieniu żydów sposoby nielegalne i niemoralne, jakich w walce o byt chwytać się musieli, dlatego naprzód, ażeby nie zginąć, dlatego następnie, ażeby, gdy się któremu udało stanowisko zdobyć, na stanowisku tem utrzymać się.

Stosunek taki dowlókł się aż do czasu obecnego i wytworzył stan, któryby nazwać się dał: pokutowaniem za grzechy dawniejsze. Żydów równouprawniono w krajach jednych zupełnie, w innych przez pół, gdzieindziej z pozostawieniem im porządków pewnych administracyjno-wyznaniowych, stanowiących własność ich wyłączną. Jakiż stąd rezultat? Rozwinęli oni ten talent obchodzenia praw, jaki w sobie w czasach prześladowań wydoskonalili i opanowali banki, giełdy i publicystykę, pozakładali różne *Alliances israelites* i uprawiają niwę interesów żydowskich, bez względu na interesy społeczeństw europejskich, wykrzesując na wyłączną korzyść swoją monopole, prerogatywy i przywileje. Poseł Merunowicz w mowie, mianej na posiedzeniu sejmu lwowskiego dnia 27 września b. r., wyliczył przywilejów dwanaście, stojących w poprzek ustawom krajowym; zwrócił przytem uwagę na tę charakterystyczną osobliwość, że żydzi mają w rezerwie sposoby na swoich nawet, gdy ci okazują skłonności szanowania praw obowiązujących. Byłego posła brodzkiego, dra Filipa Zuckra, za to, że się ośmielił przeciwko przywilejom głos podnieść, obłożyli klątwami rabini w liczbie „stu osiemnastu nietylko galicyjskich, ale i węgierskich, bukowińskich, mołdawskich, jeden nawet z Algieru.“ i nie dopuścili do tego, ażeby żyda, przyjmującego równouprawnienie na seryo, powtórnie z Brodów wybrano. Gdzie Brody—gdzie Algier! Owóż, do czego to gościnność doprowadziła! Z jednej strony klątwa rabinów na człowieka postępu, z drugiej heca antisemicka, dokonywana słowem ustnem, słowem pisanem i czynnem.

Zamiast tego, wolelibyśmy co innego, a mianowicie, pożądanem tak dla nas, jak dla żydów, byłoby wskazanie jakichś sposobów osłabienia następstw gościnności. Wskazówek tego rodzaju napróżnośmy dotychczas szukali we wszystkich obronach żydów i we wszystkich napaściach na nich. W tych starciach przejawia się ochota odgrzowania dawniejszych środków i środeczków, mających na celu ścieśnienie możności zarobkowania. Odbierzmy żydom handel i przemysł dlatego, że szachrują; niedopuśćmy ich do ziemi dlatego, że ziemię wyniszczają; odsuńmy ich od społeczeństwa dlatego, że je demoralizują—cóż im pozostanie? Kraść i rozbijać, albo, po dawnemu, ratować się wybiegami, udaremniającymi wszelkie obostrzenia, zakazy i sprowadzającymi tem większą szacherkę, zniszczenie i demoralizacyę. Środki i środeczki owe są już dostatecznie wypróbowane zarówno pod politycznym, jak pod ekonomicznym i moralnym względem; ci przeto, co by chcieli powrócić do nich pokazują, że dzieje nie dla nich doświadczenia czyniły: o niczem nie zapomnieli, ale się niczego nie nauczyli. Nie dowiedzieli się o tem nawet, że w szeregach szlachty, powoływanej do odsuwania żydów, znajduje się żydów pół-na-pół. Za czasów rzeczypospolitej żydzi nawracali się po trosze w ciągu wieków sześciu i przyjmowani byli przez szlachtę do herbów i nazwisk. Ilu takich było? Zdarzały się chwile, w których nawracanie szło ostro. Hetmanowa koronna, Jabłonowska, trudniła się tem z gorliwością wielką. Za panowania Fryderyka Augusta III przyjęło chrzest siedem tysięcy izraelitów, których pociągnął za sobą uczony rabin samborski Mordko Krys (Krysiński). Frank ochrzczony został wobec króla w stolicy. Zwolennicy nauk jego, korzystając z przywileju, jaki dawał przechrzczonym żydom statut litewski, przywdziali kontusze, przypasali palasze i wnet rozpostarli się w Warszawie, gdzie ogarnęli zupełnie przemysł piwowarski *). Ci przeto, co się na żydów srożą, powinni o tem wiedzieć, pamiętać i szanować krew szlachecką przez nich suto zasiloną. Nikomu mniej, jak nam, w agitacyi antisemickiej udziału brać nie wypada, a to bodaj z obawy, ażeby tego, co najostrzej występuje, nie zapytał kto, czy pewnym jest, że antenat jego mechesem nie był. We względzie tym ani jeden z polaków, zwłaszcza zaś ze szlachciców polskich, pewności nie ma i mieć nie może; ale za to ma dowód możliwości asymilacyi. Potomkowie żydów — niejeden zapewne z dzisiejszych antisemitów zawziętych — są szlachcicami na wylot, zdobnymi we wszystkie zalety i przywary szlacheckie. To przeto, co stać się mogło częściowo na drodze chrześciańśtwa, może się uzupełnić na drodze oświaty. Na drodze tej jest wyjście, jest dla kwestyi żydowskiej rozwiązanie przyzwoite, uczciwe i pożytek rokujące**).

T. T. Jeż.

SPOŁECZNE KIERUNKI W TEORYI I W ŻYCIU.

IV.

Pozytywizm przystępuje do każdej części nauki społecznej, a więc i do ekonomii w sposób następujący:

Dokładnie określa treść przedmiotu, oznacza granice dostępności umysłu ludzkiego; co leży po za temi granicami zostawia nietkniętem, a natomiast szuka praw w zjawiskach, podlegających naszym badaniom. Dalej wykazuje, co w danej sferze fatalny stan rzeczy daje nam za podstawę, niedającą się zmienić przez żadną

*) Teodora Morawskiego *Dzieje narodu polskiego*, t. IV, str 296,

**) Uwagi Jeża dadzą nam pobudkę i materyał do pomówienia ze swej strony o antisemityzmie w numerze następnym. *Red.*

Poświęcenie. Są szlachetne kobiety z pewnem ubóstwem ducha, które bezgranicznego poświęcenia nie mogą wyrazić inaczej, jak tylko przez ofiarowanie swej cnoty i wstydu: to ich najdroższy skarb. Ale częstokroć dar ten bywa przyjmowanym, nie zobowiązuje bynajmniej tak dalece, jak przypuszczały właścicielki. Smutna to historya!

O dziewiczej czystości. Jest w wychowywaniu kobiet lepszej sfery coś zdumiewającego i przerażającego zarazem, coś, czemu nic nie wyrównywa paradoksalności. Cały świat, jak gdyby sprzysiągł się troskliwie zamykać im oczy na sprawy miłosne, wszczepiać w nie jak najgłębszy wstyd oraz najwyższą niecierpliwość przy lada wzmiance i zmuszać do natychmiastowej ucieczki w głąb ducha. Nagle małżeństwo, jak straszliwy grom, rzuca kobietę w otchłań prawdy rzeczywistej i świadomości: ze zgrozą poznaje ona przeciwieństwo wstydu i kochania, i to przez tego, którego najwięcej kocha i najwyżej ceni... Co nie ześrodkowywa się w tem jednem, splątanem uczuciu zachwytu, poświęcenia obowiązku, litości i strachu przed niespodzianem sąsiedztwem boga i zwierzęcia! Jest to węzeł, któremu równego daremnie byście szukali! Nawet miłosierna ciekawość najmędrszego ze znawców ludzi nie zdoła odgadnąć, co się dzieje w sercu kobiety, wikłającej się w rozwiązywaniu okropnej zagadki; jak straszne i daleko sięgające podejrzenia powstawać muszą w biednej, wyprowadzonej z równowagi duszy, jaka rozpaczliwa filozofia i sceptycyzm ogarniają jej umysł! I dalej to samo głuche milczenie, co i przedtem: często milczenie przed sobą, zamykanie oczów przed sobą! Młode kobiety silą się na udaną płytkość i bezmyślność, dowcipniejsze przybierają ton jakiejś sprośności. W mężach swych widzą najczęściej znak zapytania swej cnoty, a w dzieciach jak gdyby apologię lub pokutę. Dzieci są potrzebą ich serca, to też pragną je mieć — co prawda — w innem znaczeniu, niż mężczyzni. Słowem — nie można być nigdy dosyć łagodnym dla kobiet.

Zanadto wschodnie. Jakto? Więc Bóg kocha ludzi dlatego, że przypuszcza, iż wierzą w niego, a gromowe spojrzenia i groźby ciska tym, którzy w tę jego miłość nie wierzą? Więc miłość warunkowa ma być uczuciem wszechmocnego bóstwa? Miłość, która nigdy jeszcze nie wzniosła się do zapanowania nad obrażoną dumą i podrażnioną żądzą zemsty! Jakże to wszystko trąci Wschodem! „Jeśli ja cię kocham, cóż to ciebie obchodzi?“

Ugrzeczniony. Ach, on jest tak grzeczny! Rzeczywiście, ma zawsze z sobą pierniki dla Cerbera i jest przytem tak bojaźliwy, że każdego bierze za Cerbera: i mnie i ciebie. To jego „grzeczność.“

Umierający Sokrates. Podziwiam męstwo i mądrość Sokratesa we wszystkiem, co czynił, mówił i — czego nie mówił. Ten ironiczny i zakochany czarodziej i szczurołap ateński, który najzarozumialszych młodzieńców doprowadzał do drżenia i łkania, był nietylko najmędrszym z gadułów, ale również wielkim w milczeniu. Wolałbym, żeby przy zgonie pozostał był milczącym, a może należałby do wyższego jeszcze szczępu duchów. Byłaż to śmierć, czy też trucizna, pobożność czy złośliwość, dosyć, że w owej chwili coś rozwiązało mu język i z ust jego wyszły słowa: „Ach Krytonie, jestem winien Eskulapowi koguta!“ To śmieszne i straszliwe „ostatnie słowo“ brzmi dla tych, co mają uszy: „Ach, Krytonie, życie jest chorobą!“ Czyż możebne! Człowiek, który, jak on, wszystkie swe dni spędził wesoło i pogodnie, jak żołnierz, był pesymistą! Więc on dobrą tylko układał minę na złą grę życia i przez cały czas krył ostatni swój sąd na dnie duszy! Sokrates, Sokrates cierpiał na życie! I do tego jeszcze zemścił się na niem w tych dwuznacznych, a tak okropnych, pobożnych a bluźnierczych słowach! Więc nawet Sokrates potrzebował zemsty! Czyżby w jego skarbnicy cnót było o jeden gran za mało wspaniałomyślności? Bracia! My musimy prześcignąć samych greków!

N. H.

siłę ludzką, a co ulegać może przekształceniom, wreszcie stara się systematyczną i świadomą pracą tak wpływać na zmianę ostatniego rodzaju zjawisk, aby te układały się najdogodniej dla społecznych celów.

Tu już widzimy odrazu różnicę pomiędzy pozytywizmem z jednej strony, a prawowiernymi ekonomistami i socyalistami z drugiej. Ekonomiści uważają całość zjawisk badanych, jako podlegającą prawom niezmiennym, a materyalne warunki bytu jako zależne od własnej swej jedynie wewnętrznej istoty; wpływać też na nie nie można i nie należy. Socyaliści zaś wielkiej liczby szkół *a priori* zapatrują się na ustrój ekonomiczny, jak na rzecz płynną, którą dowolnie odlać można we wszelką formę, lub co najwyżej na przedmiot do tego stopnia pozbawiony twardości i elastyczny, że się da lepić na wszelki sposób według woli jakiegoś komitetu, lub zgromadzenia ludowego.

Pozytywizm tedy bada przedewszystkiem rzeczywisty stan naszych potrzeb i na ile świat jest zdolny im zadosyć uczynić; potem—jak się tworzył kapitał i w jaki sposób mógł on stać się dostatecznym do zadowolenia naszych wymagań. Na tem właśnie polega treść ekonomii politycznej dla pozytywizmu, jak również dla pierwszych ekonomistów (Hume i Turgot w szczególności) *stanowi ona nierozłączną i niezbędną część nauki społecznej* i bada materyalne warunki zbiorowego istnienia.

Littré w pracy swojej o Comte'cie utrzymuje, że w pozytywizmie niema ekonomii politycznej. Byłoby to rzeczywiście bardzo dziwne, gdyby było prawdziwe.

Comte przeczył, ażeby dały się zasadnie wyłączyć z socyologii pojęcia o warunkach materyalnych społecznego bytu i stworzyć odrębną naukę pod nazwą ekonomii politycznej. Przeczył, ażeby ekonomiści (myślał o wolnohandlowcach) zbudowali naukę abstrakcyjną, jak astronomia, chemia, fizyka, tem nie mniej jednak troszczył się sam bardzo o najdokładniejsze ze stanowiska pozytywnego zbadanie zjawisk ekonomicznych, jako podstawy nauki społecznej, opierając się na pracach Hume'a, Turgota, Smitha i Dunoyera. Limanowski powtarza zarzut Littrégo i twierdzi, że „pracy ekonomistow z wyjątkiem utworów Adama Smitha nie pozyskały uznania Comte'a." Już to samo wystarczy (?) do zbicia zarzutu, że w kalendarzu pozytywistycznym, w jedynastym miesiącu, na czwartą niedzielę pomieszczony jest Hume, a we wtorek tegoż tygodnia Smith i Dunoyer (więc Hume'a stawił Comte wyżej nawet, niż Smitha), w dwunastym zaś miesiącu w sobotę trzeciego tygodnia figuruje Turgot.

Wracam do przedmiotu. Ciało nasze i mózg potrzebują ciągłego materyalnego odżywiania i czerpać je mogą jedynie ze świata zewnętrznego, wskutek czego cała społeczność znajduje się w ścisłej zależności od sfery i otoczenia. Każda więc ekonomia polityczna za podstawę swych badań winna wziąść stosunek nieunikniony człowieka do zewnętrznych warunków istnienia.

Badanie takie doprowadza nas przedewszystkiem do wniosku, że człowiek musi szukać pokarmu wśród istot, które *już żyły*; mineralna część przyrody nie wystarcza, to naturalnie utrudnia zachowanie życia i bardzo wikła zadania społeczne. Dalej, oddziaływanie ciała wymaga pewnych warunków ciepła, wilgoci, światła itd., bardzo niełatwych do otrzymania, co znowu zwiększa ciężar zachowania bytu.

Są to okoliczności, na które nie wpływamy, które istnieją niezależnie od nas i których my nawet objaśnić nie możemy, a które przecież winny służyć za podstawę wszystkich naszych wyjaśnień. Panują one tyle nad człowiekiem w zaraniu społecznem, że zmuszają go do życia zupełnie egoistycznego, uległego najmniejszym potrzebom osobistym.

Zupełnie byłoby inaczej, gdybyśmy mogli żywić się np. gazem. Wtedy tak silny instynkt samolubny, jakim jest potrzeba pokarmu, zniknąłby, a natomiast rozwinęłyby się silniej uczucia sympatyczne (przywiązanie, szacunek, dobroć), weszłyby do gry wskutek samego już czaru ich istnienia i stały się siłami w rozwoju ludzkości.

Tak więc człowiek w początkach rozwoju społecznego, powtarzam, jest egoistą, gdyż uczucia osobiste, jako bardziej dokliwe, przeważają nad naturą moralną, a potrzeby ciała, złączone z trudnościami otoczenia, wzbudzają w nim głównie popędy zachowania własnej osoby i niszczenia(?) tego, co jest zewnątrz.

Ciało więc i otoczenie są początkowo przeciwne altruistycznemu rozwiązaniu ludzkiego zadania.

Dopóki człowiek pracuje oddzielnie, działalność jego pozostaje zupełnie egoistyczną. Ale kiedy, dla skuteczniejszego zadowolenia potrzeb, przechodzi do pracy zbiorowej (czy to pasterstwo, czy połów ryb, czy polowanie, czy rolnictwo) uczucia altruistyczne występują i życie nabiera charakteru socyalnego. Naturalna rzecz, że żadna społeczność istnieć by nie mogła bez jakiegokolwiek rozwinięcia uczuć: przywiązania, szacunku, opieki. Niebawem też występują pierwiastki ciągłości i solidarności, jak je wytłomaczyłem wyżej, a życie staje się nieświadomie i pomimowolnie altruistycznem.

Dlatego jednak, aby działalność jakakolwiek zbiorowa istnieć mogła, potrzebnem jest uprzednie istnienie *kapitału* t. j. materyałów, niezbędnych dla zadowolenia naszych potrzeb, i narzędzi.

Wszelka społeczność polega na współdziałaniu za pomocą odmiennych funkcyj ku wspólnemu celowi (Arystoteles) i rzeczywiście we wszystkich znanych zbiorowiskach dostrzegamy podział pracy. Prócz tego koniecznem jest utrzymanie istot, które żywić się same nie mogą (starcy, dzieci), jak również tych, co do produkcyi bezpośrednio się nie przykładają, lecz udoskonalają np. narzędzia pracy, kierują wykonaniem czegoś itd. Wszystko to się warunkuje istnieniem kapitału, który też stanowi potężny i niezbędny czynnik rozwoju. Ponieważ jestto przedmiot znany i łatwy do pojęcia, więc się nie zatrzymuję nad niem dłużej i przechodzę do praw, warunkujących powstanie i wzrost kapitału. Pomimo całej ich prostoty, określił je dopiero Comte.

1. *Każdy człowiek może wytwarzać więcej, niż zużywa.*

2. *Przedmiot wytworzony może trwać dłużej, niż czas potrzebny na reprodukcyę.*

Pierwsze z tych praw określa pewną własność ludzkości i jest zupełnie zrozumiałe. Drugie stosuje się do świata zewnętrznego i dla osób, niezbyt obznajomionych z pojęciami ekonomicznemi, może nie wydawać się jasnem. Tem nie mniej słuszność jego nie ulega najmniejszej wątpliwości. Gdyby np. człowiek, uszywszy sobie ubranie, lub zbudowawszy dom, musiał natychmiast przystępować do robienia nowego, bo stare zużyje się, zanim nowe będzie skończone, wszelkie zaoszczędzenie i powstanie kapitału byłoby niemożebne. To samo stosuje się do płodów rolnych.

Dodać należy, że ulepszenia techniczne wciąż potęgują doniosłość tych praw. Kombinacya zaś ich doprowadza do wniosku:

Natura człowieka i stan świata zewnętrznego pozwalają każdemu pokoleniu wytworzyć więcej, niż ono potrzebuje zużyć, i zastosować zwyżkę swej pracy.

Ażeby jednak zachowywanie kapitału było możliwem, nie dość, gdy fizyczne warunki nie stoją na przeszkodzie; trzeba, ażeby całe społeczeństwo wytworzyło odpowiednie instytucye. Środki zachowawcze składają się z przywłaszczenia (*appropriation*) i przekazywania (*transmission*).

Ekonomiści wyłącznie prawie zwracali uwagę na wytwarzanie bogactw, nie troszcząc się nawet o sposoby zachowywania ich. Oczywiście jest to wielki błąd, gdyż we wszelkiej gospodarce, a więc i w ekonomii społecznej, zachowywanie bogactw posiada pierwszorzędną doniosłość. W historyi znaleźć możemy dowody, że odegrało ono w rozwoju ludzkości rolę pierwszorzędnej siły. Zwróćmy tylko uwagę, jak oszczędność przyczyniła się do wydźwignięcia proletaryatu z niewolnictwa w średnich wiekach i pozwoliła mu dojść do pewnego rodzaju własności. Ze stanowiska zaś polityki prawdziwie socyalnej, a szczególnie ze stanowiska pozytywizmu wszelkie niszczenie bogactwa ludzkości jest anti-społeczną zbrodnią. Ilość nagromadzonego kapitału — to siła, to oręż w walce o przyszłość; jak więc potworną omyłkę popełniają ci, co dla zyskania poklasku klasy pracującej, dla chwilowego usunięcia przesilenia burzą, aby dać jej zarobek! Toż samo można powiedzieć o reformatorskich zapędach wielu odnowicieli miast, którzy dla zadowolenia fantastycznych pomysłów niszczą lekkomyślnie pracę zeszłych pokoleń, a przez to opóźniają rozwiązanie zadania ludzkości, pozostającego w prostej zależności od przewagi naszej nad materyalnemi przeszkodami, od dość nagromadzonych bogactw.

Przekazywanie kapitału odbywa się w czworaki sposób:

1-o. przez *wymianę* (ekonomiści uwzględniają ten sposób jedynie); 2-o. przez *dziedziczenie*; 3-o. przez *darowiznę* (sposób teokratyczny, najgodniejszy i najpożyteczniejszy, do którego ludzkość zapewne wróci w przyszłości); 4-o *zabór*.

Ostatni sposób odegrał wielką rolę w przeszłości, i przezeń powstały wielkie fortuny wojenne, z czasem jednak zniknie i zostaną tylko trzy pierwsze.

Przechodząc do teoryi *przywłaszczania*, ponieważ jestto kwestya sporna, należy raz jeszcze uprzytomnić zasadniczy punkt wyjścia pozytywizmu, który najwyraźniej może wynika z rozbioru zagadnień, dotyczących bytu materyalnego.

Przypuśćmy, że życie dosięgło najwyższego stopnia rozwoju zarówno pod względem ciągłości, jak i pod względem solidarności, t. j. że kapitały, otrzymane z produkcyi, służą dla całego rodu ludzkiego za pomocą pokojowej wymiany. Do takiego stanu nie doszliśmy jeszcze (fatalne są szczególnie stosunki narodów cywilizowanych z dzikimi, którzy za swe wyroby dostają wódkę), ale się wciąż zbliżamy (stosunki Europy z Chinami i Japonią). Można wskazać charakterystyczny przykład z dziedziny myśli: algiebra, pomyślana przez indusów, przeniesioną została przez arabów do Europy, na niej zaś opiera się mechanika, a więc i przemysł nasz, rozlewający się po całej planecie. Z takiej wyniosłości łatwo przekonać się o zupełnej prawdzie pozytywnej formuły, że *żyjemy przez innych i dla innych*, żyjemy z pracy poprzedników, pracując dla współczesnych i dla następców. Zgodnie z tą zasadą, należy określić rolę kapitału i uregulować społeczne bogactwa tak, aby możebnem było altruistyczne rozwiązanie zadania ludzkości.

Mając ten cel na widoku, określić możemy *obowiązki* całego pokolenia żyjącego i jednostki.

(D. c. n.).

WYRADZANIE SIĘ W ROZWOJU.

Znakomity zoolog angielski, profesor E. Ray-Lancaster *) wypowiedział w Szeffildzie na ostatnim zjeździe Brytańskiego Towarzystwa postępu nauk piękną mowę, w której usiłował wykazać wielką doniosłość zjawiska wyradzania czyli cofania się w rozwoju organicznego świata.

Myślący badacz dwiema kroczy drogami: tworzy on najprzód pewne hypotezy, a następnie, dla stwierdzenia lub obalenia ich, poznaje zjawiska drogą doświadczenia i obserwacyi. Znaczenie hypotezy dla odkryć naukowych tak jest płodnem i ważnem, iż najsubtelniejszy i najdoświadczeńszy umysł może całe życie spędzić na poznawaniu oraz szczegółowem oglądaniu przedmiotów i objawów natury, a pomimo to, jeśli mu nie przewodniczą pewne przypuszczenia, nie dostrzeże wielu faktów, mających doniosłą wagę. Przyroda nie daje odpowiedzi na żadne pytania ogólnikowe, należy jej zadawać umiejętne, na które ściśle określonych można oczekiwać odpowiedzi. Badacz spostrzeże tylko to, czego nakazuje mu poszukiwać postawiona przez niego hypoteza; eksperymentator z doświadczeń swych tylko te rozwiązuje zagadki, dla których przeznaczonem i urządzonem było doświadczenie.

Długo znajomość istot żywych — roślin i zwierząt — nie stanowiła części składowej ogólnego organizmu nauki. Pochodziło to stąd, że zadawalano się prostem opisywaniem tworów żyjących; przyczyny zaś ich bytu oraz ustroju zupełnie były niewiadome. Wszystko, co tchnie życiem, odłączano od reszty przyrody, jako odzielną zupełnie dziedzinę, bez porządku i przyczyny, jakby wsuniętą do wnętrza świata, podlegającego ładowi i działaniu przyczyn.

Tak trwało do czasów Darwina, a raczej do czasu ogłoszenia przez niego teoryi pochodzenia gatunków. Hypotezę, która początkowo w umyśle jego zabłysła, ujawnił on po dwudziestoletniej nad nią pracy, jako na silnych spoczywający podstawach i obrobiony systematnaukowy, a następnych lat dwadzieścia, które upłynęły od czasu ogłoszenia jego dzieła, posłużyły tylko dla stwierdzenia prawdy początkowych przypuszczeń tysiącami nowych dowodów.

Każdy z wykształconych czytelników obeznany jest mniej lub więcej z podstawami teoryi Darwina; przypomnimy tu jednak ogólne jej zarysy, gdyż, jak słusznie powiada R. Lancaster, bywa ona tak przekręcaną i fałszywie pojmowaną, iż nie należy tracić żadnej sposobności do powtórzenia jej przed ogółem wiernie.

Wiadomo, że hodowcy dla otrzymania rozmaitych ras i odmian zwierząt lub roślin korzystają z dwu zasadniczych własności żywych tworów. Pierwsza z nich polega na tem, że niema dwu zupełnie identycznych osobników, chociażby nawet zrodzone były z jednych i tych samych rodziców. Właściwość ta zwie się zmiennością lub zboczeniem. Druga tkwi w tem, że organizm zachowuje zwykle cechy swych rodziców; jest to t. z. dziedziczność. Otóż, hodowca, chcąc np. otrzymać rasę o krótkich rogach, wybiera do rozpłodu z pośród wszystkich osobników swego stada takie byki i krowy, które skutkiem zboczenia posiadają rogi najkrótsze. Znamię to drogą dziedziczności przechodzi na potomków, z których znów hodowca wybiera osobniki z rogami najkrótszymi — itd. w ciągu wielu pokoleń, aż ostatecznie otrzyma takie, jakich pożądał. Gdyby w ten sposób, przez sztuczny dobór związków, mógł działać w ciągu nie lat kilkunastu, lecz np. milionów, zmieniłby rasę pierwiastkową na zupełnie rogów pozbawioną. Rozszerzając zaś swoje doświadczenia, skróciłby np. również jednej rasie nogi, w drugiej doprowadził do zaniku ogon i tak dalej, a wreszcie zdołałby wytworzyć zupełnie nowy i nader odmienny gatunek zwierząt.

W naturze dzieje się tak samo: i tu istnieją zboczenia i tu dziedziczność, ale zamiast doboru sztucznego działa t. z. dobór naturalny, skutkiem walki o byt. Mianowicie, w całym świecie organicznym ilość rodzących się osobników zwierząt i roślin o wiele przewyższa te środki, jakimi one wyżywić by się mogły, a przeto następuje między nimi walka. Rezultatem jej jest wybór naturalny, t. j. utrzymują się przy życiu tylko te, które posiadają pewne, szczególnie pożyteczne dla nich zboczenia organizacyi, pozwalające im pozostać zwycięzcami. Zboczenia te odziedziczają potomkowie a w pośród nich znów te prędzej przy życiu się utrzymają, które w najwyższym stopniu posiadają owe pożyteczne dla nich cechy.

Jeśli zaś widzimy, że w ciągu kilku ledwie miesięcy maleńka, gołem okiem zaledwie widzialna kulka protoplazmy (jajko) w procesie powolnych przejść przemienia się na tak złożony ustrój, jak np. ludzki, łatwo pojąć, że wszystkie wogóle organizmy powstać mogły z najniższych i najprostszych po bardzo powolnych przemianach, odbywających się skutkiem działania doboru naturalnego w ciągu lat milionów przy ustawicznej zmianie warunków bytu.

Jednem z główniejszych zadań nowoczesnej zoologii i botaniki jest wyśledzenie drogi, po jakiej ten proces organicznego świata się odbywał, czyli wykrycie praw owego rodowego rozwoju przez porównywanie z sobą wzajemne organizmów, przez wykrywanie ich wzajemnego pokrewieństwa. Jednym zaś z najgłówniejszych środków badania i śledzenia tej drogi jest embryologia porównawcza. Zasadnicze bowiem prawo jej twierdzi, że jeśli np. pewne ustroje wyższe, które oznaczymy przez *a*, powstały z niższych *b*, a te zaś z jeszcze niższych *c*, to organizmy *a* w swoim rozwoju embryonalnem (z jajka aż do stanu dojrzałego) przechodzą naprzód okres podobny do form najniższych *c*, następnie do form wyższych *b*, a wreszcie dochodzą do stanu ostatecznego. W ten sposób badając rozwój embryonalny zwierząt, możemy z większą, lub mniejszą trudnością wykryć rodowód od form prostszych do coraz bardziej złożonych, przekonać się więc, które organizmy którym początek dawały, były ich przodkami.

Dobór naturalny, pozostawiając przy życiu ustroje najodpowiedniejsze, może do trzech prowadzić wyników, mianowicie: albo pozostawia istoty żyjące z ich organizacyą, jeśli ona zupełnie okazuje się stosowną dla nich w walce o byt; albo wiedzie je do coraz większego złożenia czyli udoskonalenia budowy, lub wreszcie ją upraszcza, gdyż, jak posiadanie, tak znów w innych razach brak organów dla zwierzęcia bywa pożytecznym.

Prawdopodobnie wskutek wpływu klasyfikacyi, która zdawna posuwała się od zwierząt niższych, prostszych do wyższych, bardziej złożonych, w umysłach przyrodników zrodziła się chęć objaśnienia każdej postaci żyjącej dwiema tylko drogami: albo za pomocą hypotezy, że dana forma organiczna w ciągu wielu wieków pozostawała w stanie równowagi, albo też, że wydoskonaliła się w rozwoju i przedstawia krok naprzód w porównaniu z przodkami swymi.

W niektórych wyjątkowych wypadkach objaśniano powstawanie pewnych form także upraszczaniem się budowy, czyli rozwojem wstecznym, a mianowicie u istot pasorzytnych, które, żyjąc kosztem swego gospodarza, utracić musiały liczne narządy, jako zbyteczne (np. organy ruchu, przy pomocy których zwierzę wyszukuje sobie pożywienie); jednakże dopiero w 1875 roku prof. A. Dohrn, obecny dyrektor stacyi zoologicznej w Neapolu zwrócił uwagę uczonych w pracy p. t. *Początek kręgowców i zasada przemian funkcyj* na wielką doniosłość idei wstecznego rozwoju czyli wyradzania się w całym organicznym świecie. Ale idea ta, nawet przez Dohrna tak silnie zaznaczona, nie zwróciła na siebie takiej uwagi naukowego świata, na jaką zasługiwała. Otóż prof. Lancaster stara się wykazać całą jej doniosłość, dowodząc, w jak rozmaitych i częstych występować ona może wypadkach i jak łatwo tłomaczy liczne, niezrozumiałe dotąd zjawiska rozwoju. „Według mnie — powiada on — hypoteza wyradzania się może okazać niezmierne usługi przy odnajdywaniu pokrewieństwa pomiędzy wielu zwierzęcemi formami, które w razie przeciwnym, gdy używamy tylko hypotezy równowagi lub doskonalenia się, pozostają dla nas nader zagadkowemi i niezrozumiałemi.“

Lancaster widzi cztery główne przyczyny wyradzania się w rozwoju u zwierząt. A mianowicie: 1-o występuje ono wtedy, gdy pewne gatunki zaczynają być pasorzytami, tracą bowiem bardzo wiele narządów niezbędnych w życiu samodzielnem (np. organy ruchu, chwytne itd.). Za przykład takich zwyrodniałych w rozwoju swym istot mogą służyć niektóre pasorzytne raki, które po przyczepieniu się do ciała ryb, gubią mnóstwo ważnych narządów i ulegają nadzwyczajnemu uproszczeniu w budowie. 2-o wyradzanie się zachodzi wtedy, gdy zwierzę, doszedłszy do pewnego wieku, zaczyna prowadzić żywot siedzący, (jakkolwiek nie pasorzytny) t. j. przyczepia się do jakiegokolwiekbądź przedmiotu. Tak np. w grupie rozwoju t. z. osłonic (*Tunicata*), będących przodkami zwierząt kręgowych, powstająca z jajka larwa z początku porusza się swobodnie i ma organizacyę bardzo wysoką, posiada dobrze rozwinięty układ nerwowy, ogon, strunę grzbietową (pierwsze ślady szkieletu), zmysły itd. Ale po pewnym czasie swobodnego życia przyczepia się nieruchomo i traci wszystkie prawie wyliczone tu organy, niesłychanemu ulegając zwyrodnieniu. 3-o wyradzanie się następuje wtedy, gdy zwierzę odżywia się podobnie jak roślina, posiadając w ciele swem ziarnka chlorofilu (od którego zależy zielony kolor liści); wskutek tego traci ono organy trawienia a także ruchy. (Za przykład takich istot podaje Lancaster zielonego robaka płaskiego, zwanego *Convoluta*). Wreszcie 4-o: gdy zwierzę skutkiem doboru naturalnego zmniejsza się w rozmiarach, skutkiem tego zanikają niektóre bardzo ważne narządy (np. t. z. mszywioły (*Bryzon*), drobne istoty kolonialne w wodach słodkich żyjące). Ostatnie dwie przyczyny wyradzania się w rozwoju za mało są jeszcze stwierdzone faktami i zdaje nam się przeto, iż prof. Lancaster zbyt pospiesznie przypisał im tak ważne znaczenie ogólne. Przytacza on liczne przykłady na poparcie swych twierdzeń, cytowaniem ich jednak nie będziemy zajmowali uwagi czytelnika.

Dalej, zwraca uwagę na to, że cofanie się w rozwoju dostrzedz można nietylko bardzo często u zwierząt, lecz także i u roślin. Występuje ono wszędzie, gdzie tylko idea rozwoju ma zastosowanie.

Filologowie oddawna już korzystają z hipotezy wyradzania się w badaniu języków. Przy pewnych okolicznościach niejedna wysoko rozwinięta mowa uległa zwyrodnieniu w umysłach i ustach tego lub innego plemienia pewnej rasy i stawała się

*) Należy on podobnie jak i zmarły przedwcześnie współziomek jego F. M. Balfour, o którym w roku zeszłym pisaliśmy, do zastępu tych nielicznych, niestety, badaczów przyrody, którzy nietylko wzbogacają wiedzę faktami, ale wlewają w nią pierwiastek filozoficzny.

coraz mniej zdatną do wyrażania bardziej złożonych i subtelnych pojęć.

Tradycyonalna historya ludzkiego rodu dostarcza także mnóstwo wyraźnych przykładów. Był czas, kiedy cieszył się wielkiem uznaniem pogląd, jakoby wszystkie dzikie rasy ludzkie były tylko zwyrodniałymi potomkami wyższych, ucywilizowanych. Rozumie się, iż podobne ogólne zastosowanie idei było błędnem zupełnie, jak o tem przekonało dokładne zbadanie obyczajów, sztuk i wierzeń religijnych ludów pierwotnych. Jednakże niepodobna powątpiewać o tem, że niektóre z nich są w samej rzeczy zwyrodniałymi i pochodzą od przodków, którzy stali na daleko wyższym stosunkowo stopniu cywilizacyi. Jako przykłady mogą tu służyć niektóre indyjskie plemiona Ameryki środkowej, dzisiejsi egipcyanie lub nawet potomkowie wielkich wschodnich państw z czasów przedchrześciańskich.

Możebność wyradzania się powinna być wziętą pod uwagę i ze względu na białe rasy Europy. Spoglądając przez zbytek optymizmu na postęp, jako na coś samo przez się zrozumiałego i niezbitego, zwykliśmy uważać samych siebie za istoty, które ciągle posuwały się naprzód, doszły do wyższego i bardziej doskonałego stanu w porównaniu z przodkami i bezwarunkowo postępować wciąż muszą na drodze rozwoju.

Ale czyż nie należy pamiętać o tem, że i my podlegamy prawom ewolucyi, że i my możemy nietylko postępować naprzód, lecz także cofać się? Jeśli sprobujemy porównać siebie z ojcami naszej cywilizacyi, ze starożytnymi grekami, to nie znajdziemy nic, coby mówiło na korzyść wyższości naszych uzdolnień umysłowych lub charakteru. Talent uwydatniania piękna form z pewnością nic nie wzrósł od czasów stworzenia Partenonu lub Afrodyty z Milosu. A co się tyczy inteligencyi, to czyż podobna uważać rozum przeciętnego człowieka ucywilizowanej Europy za świadectwo postępu, jeśli porównamy go z rozumem ludów starożytnych? Czyż mówią na korzyść rozwoju wszystkie te wymysły i płody ludzkiej ciemnoty i głupoty, wszystkie nieszczęścia i cierpienia moralne, ciągłe przedstawianie złego za dobre — wszystkie te tak pospolite zjawiska, w potworny sposób zadające kłam spółczesnej cywilizacyi?

Zastanówmy się nad tem, a poczujemy, być może, iż mamy pewne powody, ażeby obawiać się, czy nie zbaczamy z drogi postępu i czy nie wypadamy na drogę duchowego wyradzania się? Podobnie jak osłonica traci w rozwoju strunę grzbietową i zmysły, przechodząc w organizm prostszy i niższy, do stanu bezczynności i wegetacyi, i my także możemy tracić powoli najlepsze nasze przymioty duchowe, które dziedzicznie otrzymujemy jako niemowlęta.

Rzeczywiście należy się obawiać, by pewne przesądy i dogmatyzm cywilizacyi nie doprowadziły tą lub inną drogą do powolnego zaniku najdroższych naszych zalet duchowych, odziedziczonych z pokolenia na pokolenie od przodków.

Ale jedno tylko uspokoić nas zdoła. Posiadamy możność i umiejętność określania, co prowadzi nas do wyższego rozwoju, co zaś przyczynia się do zwyrodnienia. Przyroda pozwoliła nam za pomocą nauki poznawać *przyczyny zjawisk*, a korzystając z tego, jesteśmy w stanie kierować naszymi losami.

Szlakiem nieprzerwanej i wiecznie nadzieją ożywionej pracy, nauka stara się zbadać i coraz bliżej bada położenie człowieka w ogólnym ustroju przyrody, a czem bliżej i dokładniej położenie to będziemy znali, tem łatwiej i trafniej będziemy umieli pokierować biegiem naszego rozwoju.

„O ile — powiada Lancaster — wyjaśnionym będzie i w przyczynowy postawionym związek przeszły rozwój ucywilizowanego człowieka — rozwój, którego ogólne tylko zarysy zaledwie znamy, o tyle my i potomkowie nasi możemy się spodziewać, iż zdołamy we właściwy ocenić sposób wszystko, co sprzyja lub szkodzi postępowi ludzkiego rodu.“

W rozwoju więc nauki, wszędzie szukającej przyczynowości—pokładamy wszystkie nasze nadzieje.

Józef Nusbaum, kand. n. p.

TEORYA I TECHNIKA POWIEŚCI.

Zadanie *powieści humorystycznej* — według Spielhagena *) — sprzeciwia się poniekąd głównej zasadzie epika, tj. przedmiotowości, gdy osoba autora wciska się gwałtem w przedstawiany obraz i grozi mu zniszczeniem. Humoryście zależy więcej na własnych uczuciach i wyobrażeniach, których doznaje przy widoku czegoś, niż na samej rzeczy. Opowiadania nie bierze poważnie, służy mu ono tylko za punkt wyjścia, za przykład do osobistych uczuć i myśli. Podmiotowość poety nie roztapia się w przedmiocie, ale przez jego szpary przegląda nagość humorysty. Humor jest to dziwny, złożony ustrój duszy, który stanąwszy na wyżynach tej pewności, że prawdziwą wielkość dostrzegamy także w maluczkich prostaczkach, przecież od tych biednych ucieka na drugi koniec „idei.“ Nastrój taki nie jest jeszcze poetycznym, tem mniej—objektywnym. Zdanie Goethego posiada zupełną słuszność: humor należy wprawdzie do pierwiastków geniusza, ale kiedy zaważy na szali, burzy cały artyzm. Zadaniem powieści bowiem jest odbicie świata, w którym głupstwo nie zajmuje, na szczęście, wszystkich posad... Szczytem humorystycznej powieści — *Don Quichote* Cervantesa. Rozbiór tego utworu daje sposobność Spielhagenowi do wskazania kilku znamiennych właściwości warsztatu techniki artystyczno-humorystycznej. I Cervantes nie jest przedmiotowym. Widzimy bowiem w jego utworze bohatera, wybierającego się na zdobycie królestw, a znajdującego — osłów; bohatera, którego zadaniem jest wykolejony świat sprowadzić na prostą drogę, aby być od niego zbitym na kwaśne jabłko. Ale w tym tragi-komicznym boju występuje tylko awanturniczy rycerz — drugiej strony walczącej niema na scenie: „pijany świat“ usunięty w głąb perspektywiczną i ledwie zarysowany w mrocznej oddali.

O wiele głębszym jest rozbiór powieści, w której autor opowiada własne dzieje (p. t. *Ich-Roman*). Dla uwydatnienia tej nowoczesnej i na wskroś osobistej formy, stawia jej Spielhagen zwierciadło opowiadania homerowskiego, przedmiotowego, odbijającego naiwne i jednostajne życie greckie, zacząwszy od królów a skończywszy na pasterzach, prawie nieróżniących się od siebie. Bohaterskie te czasy sprzyjały więcej przedmiotowości, niż dzisiejsze, gdzie każdy osobnik objawia się odrębnie. Ludy achajskie zebrały się na wyprawę trojańską, jak się zgromadza ptactwo wjesieni, aby odlecić do ciepłych krajów, pędzone instynktem. Gdzie z tej masy, przejętej jednem uczuciem, wyskakuje osobnik, tam zostaje, jak Tersites, pociągnięty ze wzgardą pod sznur ogółu, albo, jak Achilles, tragicznie złamany. Jak jednostka z ogółem, tak zlewa się w tych bohaterskich czasach teraźniejszość z przeszłością. Poeta z czasów homerycznych nie odbija się od zwykłych ludzi, nie patrzy na nich zdaleka, w dzień świąteczny, ani zna też świata z muzeów albo z bibliotek, ale rzuca się odrazu w wir powszechny. W jego wielkiej pracowni wpada ze wszystkich stron jasne słońce życia i z okien wygląda wszędzie świat pełen barw i kształtów. Przewyższa też homerowski śpiewak nowoczesnego autora tą pewnością, tem uczuciem dumy, że każde uderzenie jego struny odbrzmiewa w duszy słuchaczów, bo on patrzy, myśli i czuje, jak oni. A tak dalece jest częścią całości, że wprowadza się w osobie trzeciej, i choćby występował w najdziwniejszych warunkach i wypadkach, nie odsłania nigdy swego charakteru. Obraz jego świata nie przekracza rzeczywistego widnokręgu, zbogaca on go chyba kilku cudami. Wreszcie osobistość starego pieśniarza, niemającego nawet nazwiska, jakby wygnana z tego świata objektywności, nie odpowiada za swoje dzieło i wyklucza zupełnie krytykę. Wprost przeciwne stanowisko zajmuje nowożytny powieściopisarz, zwłaszcza kiedy opowiada własne koleje życia. Tu występuje obserwacya indukcyjna, spokojna i rozważna, patrząca zawsze na człowieka w odniesieniu do czasu i miejsca, natury i społeczeństwa. Z tego względu wszystkie przeróbki powieści na dramaty muszą być chybione. Dramatycznemu autorowi, któremu zależy głównie na przedstawieniu akcyi w najprostszej formie, jest do pewnego stopnia obojętnem, gdzie i kiedy ona się dzieje. On ukazuje to, „co się nigdy i nigdzie nie zdarzyło“ (Schiller) i dba więcej o stan duszy, niż o osobę. Tę przedstawi aktor w całej odrębności i prawdzie, o resztę dba reżyser i malarz kulis. Ojczyzną poety dramatycznego nie jest historya powszechna, ani krajowa, ale serce ludzkie, co bije dziś, jak przed tysiącami lat i zawsze jednakowo bić będzie. Nie obejdzie on się również bez modelów i obserwacyj; ale kiedy w dramatach Shakespeare'a zaledwie cząsteczka niezliczonych charakterów jest zdjęta z rzeczywistości, w powieściach Goethego każda osoba odmalowana z życia. Obserwacya epiczna jest indukcyjną, dramatyczna — więcej dedukcyjną.

Powieść, zwłaszcza gdy w niej autor gra rolę bohatera, jest wielką spowiedzią, z której nie tak łatwo zrobić dzieło sztuki. Przedewszystkiem należy tu zmienić osobę pierwszą na trzecią a potem pogodzić dwie na pozór sprzeczne dążności epiczne. Jedną z nich jest rozpościeranie widnokręgu w coraz większych kołach, drugą — trzymanie się szczególnych wypadków na podstawie spostrzeżeń; tamta chce stworzyć szeroki obraz ludzkości (*Weltbild*), ta nie wychodzi po za obserwacyę szczególnego przedmiotu. Autobiograf strzeże wiernie zdarzeń i kolei swego życia nawet wtedy, kiedy je zręcznie umie ułożyć i z wysokiego stanowiska obejrzeć. Z powieści zaś trzeba niezbędnie wyrzucić przypadkowość oraz różnorodne zmienne nastroje duszy, niedające żadnego wyraźnego obrazu. Bohaterowi jej, wprost przeciwnie niż przeciętnemu człowiekowi, wydarza się wszystko w porę, służąc zarazem do najdokładniejszego rozwinięcia jego znamion, Pod postacią żebraka kryje się bogini mądrości, kierująca swego ulubieńca manowcami do wytkniętego z góry celu. Po usunięciu przypadkowości musi być następnie złamaną jednostronność poety, osobiście i moralnie bardzo ważna, ale estetycznie szkodliwa, bo niepozwalająca postaci wszechstronnie rozwinąć wszystkich jej władz, ani nietworząca „obrazu świata.“ Powieściopisarz zatem bohaterowi, którego znalazł względnie zależnym i ograniczonym, udziela lekkiej obrotności i czułej wrażliwości, co mu otwiera świat ze wszystkich stron i zmusza go do zetknięcia się z ludźmi. Dlatego to bohaterowie najznakomitszych powieści są młodzieńcami. Wiek męski nadaje się więcej do dramatu, poezyi czynu. Że gibkość nie potrzebuje być słabością charakteru — to rzecz jasna.

*) Patrz nr. 38 *Prawdy*, gdzie znajduje się sprawozdanie z części pierwszej.

W subjektywnym zmroku pogrążone dzieje serca autora przechodzą w objektywną jasność epicznego opowiadania przez rozszerzenie własnej jego osoby. Typowym okazem tego psychologiczno-estetycznego procesu jest *Werther*. Goethe odmalował wiernie swój stosunek do kochanki i jej narzeczonego, ale następstwa cierpień własnych, przedstawionych w osobie Werthera, następstwa w rzeczywistości zupełnie odmienne, zaczerpnął z tragicznych dziejów młodego Jeruzalema. Coś podobnego przedsiębrał Dickens w *Copperfieldzie*, niezrównanym wzorze tego rodzaju. A. Daudet w *La petite chose*, Sterne w *Tristram Shandy*, Goldsmith w *Vicar of Wakefield* itd. Powieściopisarz ma tę korzyść, na której zbywa autorowi, przedstawiającemu dzieje cudze, że może wplatać swoje myśli i uczucia, nie naruszając tkaniny złudzenia, łączącego w jednej osobie poetę i bohatera.

Ale nastręczają mu się także niekorzyści. Kiedy w powieści objektywnej autor wzywa do siebie osoby i każe im wyjawiać swe tajemnice, to uważamy za naturalną tę spowiedź, nie mniej jak i tę okoliczność, że on o nich wie wszystko. Ową wszechwiedzę i wszechobecność powieściopisarz-bohater obowiązany w każdym szczególnym wypadku usprawiedliwiać. Cały jego wątek—to jedna, ciągła walka o tę legitymacyę. Chociaż ma niewypowiedziany wstręt patrzeć przez dziurkę od klucza i podsłuchiwać za drzwiami, to przecież musi się zniżyć do tej przykrej roli, bo inaczej nie zdoła odkryć tajemnicy swych postaci. Środka tego używano i nadużywano i u nas: „Widzę to (co się działo przed 30 laty) tak wyraźnie, jak gdyby dzisiaj;“ albo: „Pamiętam *dosłownie* rozmowę“ (z przedkilkudziesięciu laty). Taka pamięć byłaby psychologicznym cudem.

Ostatnim momentem procesu twórczości powieściopisarza-bohatera jest zamiana trzeciej osoby znowu na pierwszą, któraby miała wszystkie własności opowiadania przedmiotowego a zarazem zalety subjektywizmu, który może wypowiedzić otwarcie i wyraźnie swoje uczucia i mniemania.

Różnicę między romansem a nowelą wykazuje Spielhagen praktycznie rozbiorem nowel Maryi v. Olfers oraz szkicu Ohneta p. t. *Serge Panine*. W teoryi owa różnica przedstawia się tak: nowela działa charakterami gotowymi, które wprowadza w starcie, powieść zaś potrzebuje charakterów rozwijających się do oddania całej rozległości życia ludzkiego. Pierwsza rozwiązuje częściowo zagadkę sfinksa, druga stara się o rozwiązanie końcowe. Nowelista ma mniej osób i farb, za to maluje dokładniej. Powieściopisarz, wprawiający w ruch wielką ilość osób, używa różnych sposobów techniki malarskiej, zacząwszy od szkicu, a skończywszy na *al fresco*. Nowela podobna do mnożenia, gdzie dwoma czynnikami osięga się od razu pewny rezultat: powieść można porównać z dodawaniem, którego suma bywa nieraz z powodu długiego szeregu liczb wątpliwą. Pod względem budowy artystycznej nowela bardziej przypomina dramat, powieść z każdego względu stanowi jego przeciwstawienie. Najpospolitszym błędem nowelistów, zwłaszcza francuskich, jest zbyt obszerna treść i za rozległy widnokrąg ich opowiadania. Aby obrobić taką masę materyału, któryby wystarczył na całą powieść, używają oni, nie wykluczając nawet Daudeta, Wiktora Hugo, Zoli itp., następującego środka. Dzielą opowiadanie na dwie części. W pierwszej, zawierającej zwykle wspomnienia z przeszłości (*Vorgeschichte*), autor szkicuje tylko dzieje głównych osób aż do punktu, gdzie się zaczyna prawdziwa osnowa, tj. część druga *szczegółowo wykonana*, na której mu jedynie zależy. Taka nowela jest ostatniem rozdziałem powieści. Jeżeli już mamy posługiwać się tym nieco zużytym środkiem, należy go uczynić prawdziwym i naturalnym. Wspomnienia muszą wypływać z nastroju i stanu duszy bohatera; nie mogą też być zbyt wyraźne, ale winny prześliznąć się przez duszę opowiadającego, bo najwyrazistsze chwile z rzeczywistości mają mroczne oświetlenie w pamięci.

Drugim środkiem, niewiele lepszym, jest spisywanie dziennika albo pamiętnika. Najlepszą metodę nowelisty stanowi podawanie przedmiotu z pierwszej ręki, tj. opisywanie tego, co się zdarzyło; z drugiej czerpie on, wtedy, jeżeli opowiada to, co jego spotkało; z trzeciej — gdy przedstawia wypadki, które słyszał od kogoś. Otóż zdawałoby się, że forma pamiętnika należy do pierwszej kategoryi. Niestety tak nie jest; przedewszystkiem dlatego, że samemu nie można się zmierzyć dokładnie, a zatem przy najszczerszej chęci autora nie dostajemy na tej drodze prawdy przedmiotowej. Powtóre, spowiadający nie powie wszystkiego, bo pisząc dla siebie, nie potrzebuje mówić o wielu rzeczach jemu dokładnie wiadomych. Tak więc użycie dzienników i pamiętników w noweli pozostaje zawsze wyrobem trudnym do strawienia; tylko mistrzowstwo zdoła zamienić go na zdrowy epiczny pokarm.

Na tem kończy swoje wywody Spielhagen.

H. B.

Z GALICYI.

Lwów, 19 października 1883.

Misya ministrów-rodaków. — Odwołanie. — Punkt ciężkości „prac“ sejmowych. — Wnioski. — Wiktorya p. Popiela. — Co i gdzie i czy się robi?

. . . .

Punkt ciężkości niedługich działań sejmu spoczywał głównie.. w przyjęciach. Nie przesadzam wcale! Bo proszę mi pokazać bodaj jeden numer *Kuryera lwowskiego* z czasu trwania sesyi, w którymby nie było sprawozdania z „recepcyi,“ obiadu, balu, rautu, urządzanych ku rozerwaniu zmęczonych głów krajowej reprezentacyi... I cóż ja wam o tem wszystkiem napiszę?

Sesya tegoroczna zamknięta, a sejm odroczony. I jakiż wynik? Nie brakło wniosków, których częściowe nawet i dobre załatwienie otoczyćby mogło posłów naszych aureolą pracowitości. Zanotuję z nich co ważniejsze. Więc najprzód projekt marszałka Zyblikiewicza, poruszony już w zeszłym roku a rozwinięty obecnie szczegółowiej. Dotyczy on szkolnictwa ludowego. Z uwagi, że w kraju naszym istnieje parę tysięcy gmin bez szkół — doradza marszałek zakładanie tych ostatnich co rychlej i obsadzanie ich nieegzaminowanymi nauczycielami. Dr. Z. życzyłby sobie także, aby nadzór i kierownictwo tych „tymczasowych“ szkół przeszedł z rąk Rady szkolnej krajowej do rad powiatowych (polityczne). Wręcz przeciwny wniosek złożył do laski marszałkowskiej dr. Czerkawski imieniem zeszłorocznej komisyi edukacyjnej.

Dyrektor banku krajowego, poseł Wrotnowski, przedstawił projekt statutów dla gminnych kas oszczędności, uzasadniając go chęcią polepszenia bytu włościan. Nieodstępny towarzysz p. marszałka, idzie przyjacielowi swemu w ład, proponując oddanie tych finansowych instytucyj również w ręce rad powiatowych, co ze względu na niekompetencyę fachową i znaną ospałość tych ostatnich napotyka surową krytykę, zwłaszcza w kołach zwolenników stowarzyszeń zaliczkowych.

Poseł Romanowicz wniósł o rozłożenie ciężaru indemnizacyjnego na dalsze jeszcze lat czterdzieści. Rzecz to zbyt specyalna, aby mogła być przedmiotem rozbioru na tem miejscu; wspomnę więc tylko, że w motywach p. Romanowicz wyzyskał dowodnie ulgi i korzyści, płynące z przyjęcia jego myśli.

Hausner przemawiał znowu za przeniesieniem zarządu sieci kolej galicyjskich do kraju. Piękna jego mowa miała więcej znaczenie akademickie, bo sprawa ta należy do Rady państwa. Chodziło też oczywiście o uchwałę tylko i danie wskazówki Kołu polskiemu w Wiedniu, aby raźniej i energiczniej wzięło się do sprawy, zwłaszcza że obecny rząd sprzyja dosyć myśli decentralizacyi kolei a tylko miasto Wiedeń się jej opiera.

Poseł Merunowicz poruszył (nie pamiętam, po raz już który!) ważną sprawę uregulowania stosunków wyznaniowych ludności żydowskiej; prof. Pilat wystąpił z projektem reformy ordynacyi wyborczej pod tym względem, aby okręgi wyborcze stanowiły powiaty polityczne, a Grocholski wniósł żądanie ograniczenia wolności dzielenia gruntów włościańskich i zmiany prawa spadkowego, dr. Madejski zaś domagał się zmiany procedury sądowej. Chodzi mu mianowicie o zaprowadzenie postępowania ustnego, szczędzącego ludności czas i pieniądze. Kto zna austryacką procedurę, musi tylko serdecznie przyklasnąć wnioskodawcy. Do tej samej kategoryi należy wniosek Tyszkiewicza, żądający zmiany przepisów o należytościach spadkowych.

Zdaje mi się, że bruk w piekle musi już być gotowy... Wszak pozbierałem co do jednej wszystkie dobre chęci członków naszego parlamentu. Ach, zapomniałem jeszcze o świetnem zwycięstwie p. Jana Popiela! Była to właściwie tylko druga edycya zeszłorocznej *wiktoryi* tegoż samego pana, ale nie wolno jej pominąć milczeniem, gdy zwłaszcza zachodzi uzasadniona obawa, że kroniki zamilczą zapewne kiedyś o panach na Ruszczy... Owóż prof. dr. Pilat wniósł na nowo projekt przyznania głosu wirylnego w sejmie każdoczesnemu rektorowi politechniki lwowskiej. Żądanie to zdziwiło mnie niezmiernie, bo wynik głosowania, zwłaszcza przy dzisiejszym składzie sejmu, był z góry do przewidzenia.

Na tem kończę krótkie sprawozdanie moje. Jeżeli zresztą sejm coś jeszcze zrobił, to przeważnie w komisyach, którym rozdano trudniejsze do rozstrząśnienia sprawy. Co się jednak dzieje w tych matecznikach, trudno dociec zwykłemu śmiertelnikowi. Ale czy się tam tylko wogóle coś dzieje?...

Rewera.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Korzyści wiedzy zarekomendowane przez p. Maleczyńską w jej *Nauce stylu i Składni*. — Odwaga cywilna i odczyt p. Ehrenfeuchta *O opinii publicznej*. — Nowe wydanie *Szkiców filozoficznych* Spencera.—Wspomnienia szkolne. — *Dziś i wczoraj* Stanisława Wolskiego. — *Drugi raz*, obrazek dramatyczny B. Grabowskiego. — Zbiorowe wydanie *Dzieł* Schillera.

Nie zginie nauka, bo ma u nas dzielne... matki. Słuchajcie tylko, jak młodym wielbicielom zaleca ją pani Maleczyńska, która świeżo rzuciła na księgarskie pulki *Składnię polską* i *Naukę stylu*. „Korzyści z nauki są bardzo znaczne i pożyteczne (*sic*)—mówi autorka—we wszystkich oświeconszych krajach ludzie z większą znajomością rzeczy, ludzie z wyższem wykształceniem znaczniejsze zajmują posady.“

To się nazywa praktyczny kierunek dydaktyki. Ucz się Jasiu i Kaziu, bo jak będziesz mądry, to cię kiedyś zrobią panem naczelnikiem z wielką władzą lub dyrektorem z jeszcze większą tantyemą. Strach doprawdy pomyśleć, ilu to kandydatów na rozmaite „znaczne posady“ dostarczy społeczeństwu pani Maleczyńska, wierząca zapewne, że jej teorya stylu jest kwiatem językowej wiedzy. I rzeczywiście, ileż to „pożytecznych korzyści“ odniosą malcy, którzy wbiją sobie w pamięć głębokie prawdy, rojące się na stronnicach jej książek! Dowiedzą się oni np., że komedya „wystawia walkę słabości ludzkiej, głupstwa i przewrotności normalnego stanu rzeczy.“ Wprawdzie ciekawy chłopczyna lub dziewczątko, przeczytawszy to zdanie, może zapytać: co wogóle warta mądrość, jeżeli głupstwo jest znamieniem „normalnego stanu rzeczy“ i wskutek tego powziąść pewne wątpliwości względem pożytku tak ładnie odmalowanej wiedzy—ale niebezpieczeństwo tego sceptycyzmu usuwa zupełnie obietnica „znacznej posady.“ Z pewnością zachęci ona roztropne dzieci do troskliwego wyuczenia się reguł gramatycznych lub definicyj, które autorka układa w sposób niezaprzeczenie oryginalny. „Każdy *wyraz* — mówi ona — wyrzeczony jest *obrazem* wyobrażenia czyli (?) pojęcia naszego, wynikającego z poznania jakiej rzeczy umysłowo lub zmysłowo. *Pojęcie* to czyli (?) wyobrażenie jest znowu *obrazem* rzeczy pojętej...“ Ktoby z tych słów chciał wywnioskować, że one zdradzają w autorce „pojęcie o wyobrażeniu“ i o prawidłach logiki, ten niech przeczyta wstęp, w którym p. M. tłomaczy się bardzo słusznie, że „jako człowiek śmiertelny (!), ułomny, wadliwy, niedołężny, mogła w czemś *niewinnie przewinić*.“

Ale, zarzynając książeczki dalszym wykazem błędów, nie odgrywajmy zbyt tanim kosztem roli Heroda.

. . . .

A nawet nie dziwmy się temu, że pani Maleczyńska napisała swą *Składnię* i *Naukę*, skoro p. Ehrenfeucht tak wysławia odwagę cywilną w swym odczycie *O opinii publicznej*, wypowiedzianym w Warszawie, Kaliszu, Piotrkowie, Łomży i Lublinie... „W starożytnej Grecyi — pisze on — był mędrzec, któremu dano do wyboru albo zrzeczenie się zasad, jakie wyznawał i wygłaszał, albo wypicie pucharu trucizny... Mędrzec wybrał truciznę...“ pani Maleczyńska napisanie książeczek o *Stylu* i *Składni*, p. Ehrenfeucht zaś odczyt *O opinii publicznej*. Oboje tem się różnią od Sokratesa, że nikt im nie przeszkadzał w głoszeniu zasad, co szczególnie pani Maleczyńskiej wyszłoby na dobre... Ponieważ każdy przeciętny śmiertelnik wobec opinii jest tchórzem, więc p. Ehrenfeucht, zbrojny śmiałością, odważył się powiedzieć tej pani wszechwładnej kilka prawd niezbyt słodkich, a nawet odmówił jej patentu nieomylności. Jak się tworzy opinia, jakie są przyczyny jej falowania, skutkiem czego wzrasta lub maleje jej wpływ na różne sfery ludzkiej działalności — temi pytaniami autor nie zajmuje się wcale, dając tylko szereg ogólnikowych wymagań, jaką opinia być powinna, jacy ludzie mogą najkorzystniej ją wyrabiać, jakie błędy jednostkowe i społeczne najbardziej paczą jej siłę i jasność.

Najlepszą częścią wywodów autora jest ogólnikowa, ale trafna krytyka przyczyn rozrostu fałszywej opinii, wysługującej się często protekcyi, egoizmowi lub lichym jednostkowym ambicyom. Czytelnik potyka się nieraz w broszurce o takie frazesy, jak np. „konspiracya (?) moralnego i duchowego życia ogółu kroczy bez wytkniętej drogi, bez asymilacyi wzajemnej z zawiązanemi oczyma...“, ale ta słowna gra w ślepą babkę nie jest grzechem całości wykładu, który nie odznacza się bystrą analizą, ani wyczerpaniem przedmiotu, ale w duchu postępowym walczy z wieloma ujemnościami naszej obyczajowej atmosfery.

. . . .

Że u nas etyka społeczna budzi dosyć pilną uwagę, dowodem drugie wydanie I-o tomu *Szkiców filozoficznych* Spencera, stanowiących początek wydawnictwa imienia T. T. Jeża, podjętego przez polską młodzież w Petersburgu. Szybkie rozchwytanie pierwszego wydania jest powodzeniem niezbyt u nas częstem dla dzieł naukowych a tłomaczy się wielką żywotnością prac angielskiego myśliciela, który w formie niezmiernie przystępnej porusza śmiało i oryginalnie tyle zagadnień z przeróżnych dziedzin wiedzy ludzkiej.

O szkicach tych pisał już specyalny sprawozdawca *Prawdy*; ja tylko dodam od siebie, że obok wielkiej ich filozoficznej wartości są one wyrazem znacznego tryumfu nowożytnej filozofii i jej dążenia do jasności i prostoty. Spencer jest głębokim, chociaż nie sili się na hieroglificzną zawiłość, jaką grzeszy wielu filozofów niemieckich. Stosując swą teoryę do różnych dziedzin wiedzy, staje się zrozumiałym dla każdego średnio wykształconego czytelnika. Na tem też polega rozrost nowszej filozofii, że nie jest ona bynajmniej księgą o siedmiu pieczęciach, otwartą tylko dla wybranych, ale krynicą nauki żywej, z której poczerpnąć mogą każde usta, spragnione jej ożywczego napoju. Dzisiaj, gdy mglistość i mistycyzm straciły kredyt nawet w poezyi, nic dziwnego, że wiedza jasna i trzeźwa staje się najpożądańszą dla młodzieńczych umysłów. Pamiętam dobrze, jak za czasów uniwersyteckich, kilkanaście lat temu łatwo nam było paru poruszeniami samodzielnego krytycyzmu otrząsnąć z umysłów łataną i pstrokatą szatę filozofii, będącej „pośrodkową“ ugodą ducha ludzkiego z urzędowym dogmatyzmem.

. . . .

Te piękne czasy przypomniała mi wiązka uniwersyteckich wspomnień, którą p. Stanisław Wolski ochrzcił mianem: *Wczoraj i dziś*. Nie jest to ani powiastka, ani pamiętnik, ale pogawędka nakreślona skromnie. Autor, kryjąc starannie swą osobę w toku opowiadania, opisuje życie gromadki młodzieży, spojonej węzłami dawnego koleżeństwa. Na wstępie rysuje kilka studenckich portretów, dość wyrazistych, w których poznać może swe młodociane oblicze niejeden uczony lub literat, a nawet piszący te słowa nie mógł, pomimo najlepszych chęci, wyprzeć się podobieństwa z pewnym młodzieńcem, którego plecy w dzieciństwie zbyt często uczuwały na sobie łechtanie pięciopalczastego narzędzia... Stanęła mi przed oczami ta wesoła, poczciwa gromadka ludzi rwących się do życia, do świata, do wiedzy z nieskalaną świeżością ducha, te rozkoszne wieczorki w koleżeńskiej izdebce na poddaszu, te obiadki u poczciwej żony woźnego, te gorące dysputy, w których reformowało się świat jednym zamachem, cały ten niespokojny, ruchliwy ferment umysłów młodocianych, wewnętrzne przerabianie się na ludzi, pierwsze wreszcie rozkosze i złudzenia, jakiemi poiły nas modre albo czarne oczy dziewczęcia. Nie ma tu głębszej charakterystyki prądów umysłowych, nurtujących śród młodzieży ówczesnej, ale prosta opowieść kilku chwil szkolnego jej życia. Autor zresztą nie przybiera obojętnej miny badacza lub obserwatora, ale znać, że kocha poczciwem sercem tych dzielnych chłopców, których jasne i gorące życie opisuje.

. . . .

Chociaż p. Grabowski, jako autor dramatyczny, nie należy do pisarzów lwiej siły, jednakże jego *Drugi raz*, jednoaktowy dramacik, odznaczony na konkursie Towarzystwa Dobroczynności, przoduje wśród dramatycznej dziatwy swego ojca. Jestto utwór na wskróś etyczny, tak że morał dodatni wypełnia jego ramy ze szkodą nawet charakterystyki psychicznej. Człowiek, osierocony przez żonę i dzieci z niezagojoną raną w sercu, odurza się życiem w gronie birbantów. Nagle spotyka kobietę, która dała opiekę biednej sierocie, dziecku hańby, zastępując mu umarłą matkę z poświęceniem własnego szczęścia. Ta sierota jest jego córką. Chce on być naprawdę ojcem dla niej, a nie może jej oderwać od opiekunki; więc drugi raz buduje podwaliny życia domowego, łącząc się węzłem małżeńskim z tą, która była matką dla jego dziecka.

Zarówno sam pomysł dramaciku, jak i główne jego postacie noszą piętno idealizmu, który jednak nie grzeszy zbytniem nieprawdopodobieństwem. Każda szlachetniejsza natura pojmuje cierpienie człowieka, którego nielitościwa konieczność wydziedziczyła z życia rodzinnego. Nie dziw też, że taki rozbitek, odnalazłszy dziecko, poczuł dla niego głębokie przywiązanie, że chcąc drugi raz utworzyć rodzinne gniazdo, nie będzie szukał upojeń dla zmysłów albo wyobraźni, ale nadzieję przyszłego szczęścia oprze na węzłach etycznej wspólności, na harmonii pracy i obowiązku.

. . . .

Śród dzisiejszej posuchy na wielką poezyę witamy z radością i sympatyą pierwszy zeszyt *Dzieł* Fryderyka Schillera w polskim przekładzie, wydany przez lwowską księgarnię F. H. Richtera. Dotychczas posiadaliśmy utwory tego wielkiego poety rozproszone w różnych wydawnictwach, bardzo często przybrane w niedołężną formę słowa. Nasze sceniczne teksty Schillerowskich dramatów są nad wszelki wyraz nieudolne. Tylko *Dziewica Orleańska* w pięknym, lubo grzeszącym dowolnością przekładzie Odyńca posiada szatę poetyczną, prawdziwie godną oryginału a tłomaczenia *Wilhelma Tella* Kamińskiego oraz *Wallensteina* Sabowskiego należą także do prac sumiennych. Niefortunne przekłady Budzyńskiego, albo pseudo-klasyczna przeróbka *Maryi Stuart* Lebruna, którą z francuskiego tłomaczył aleksandrynami Bruno hr. Kiciński, nie dają nawet przybliżonego pojęcia o świetności poetycznej dykcyi Schillera, o sile uczucia i zapału, która tętni w każdem niemal słowie jego dramatów. Dlatego też do nowego wydawnictwa dzieł wielkiego poety należałoby powołać nowe siły, gdyż niektóre dawne prace dzisiaj wyglądają już blado i kulawo. Dowodem tego właśnie pierwszy zeszyt, mieszczący w sobie liryki greckie w przekładach Minasowicza, który był raczej mozolnym wierszopisem, aniżeli artystą. W jego robotach gładkich, ale sztywnych, pozbawionych polotu, widać często mozół fabrykanta librett operowych i twórcę ich banalnego stylu... Kassandra wyrzeka tu, że „ją *stroni* słodkie *mamienie*,“ a Hektor powiada, że „wojna jedyna żądza pierś mu *głodzie*.“ Podobnych dziwactw pełno w całym pierwszym zeszycie, gdzie ani jeden utwór nie płynie tokiem prawdziwie świetnego poetycznego stylu. Przyswojenie dzieł Schillera naszej literaturze w zupełnej edycyi uważamy za zadanie bardzo ważne, które powinno być wykonane z całem poszanowaniem dla jednego z najszlachetniejszych geniuszów poetycznych. Jako bojownik swobody i obrońca praw człowieka, podnosił on zawsze potężny głos protestu przeciw tyranii społecznej i umysłowej. W jego dramatach znajdujemy odgłos potężnych bólów, towarzyszących narodzinom cywilizacyi naszego wieku, słyszymy ryki lwie budzących się z uśpienia żywiołów społecznych. Tak wielki poeta nie powinien być dla nas przykrawany przez strugających wiersze rymopisów. Dlatego też oddając słuszność ślicznej szacie typograficznej oraz prawdziwie świetnym ilustracyom, pragniemy, aby w dalszych ze-

szytach myśli wielkiego poety nie kulały w grudowatej formie, ani kryły się w skorupach archaizmów.

Wisn.

„GRZYBEK CHOLERYCZNY.“

Dzienniki nasze rozniosły już po całym kraju wiadomość o „grzybku cholerycznym,“ jakoby wykrytym przez dra Kocha, delegata niemieckiego dla zbadania zarazy na ofiarach epidemii w Egipcie. Jedno nawet z pism, ratując naszą sławę w tem dziele, wniosło do hipoteki niemieckiej zastrzeżenie długu względem pewnego lekarza polskiego, który już przed kilkudziesięciu laty miał odkryć takiż „grzybek.“ Otóż otrzymawszy tekst sprawozdania dra Kocha musimy rozczarować zachwyconych i uspokoić drżących o zatarcie się zasługi naszego rodaka, gdyż „grzybek“ rzeczywiście jest, ale wyrósł nie we wnętrzu zmarłych na cholerę, tylko w szpaltach gazet. Wynik badań bowiem przedstawia się tak:

Przedewszystkiem dr. Koch dostał do sekcyi zaledwie 10 trupów. Powtóre „we krwi, zarówno jak i w organach, które zwykle są siedliskiem mikropasorzytów, mianowicie: w płucach, śledzionie, nerkach, wątrobie nie można było odszukać żadnych organicznych materyj zaraźliwych. W zawarciu kiszek znaleziono ich bardzo wiele i bardzo rozmaitych, ale żaden rodzaj nie występował w ilości przeważnej.“ Prawda, że w błonie szluzowej kiszek dostrzeżono (z wyjątkiem wszakże jednego wypadku) „pałeczkowate bakterye,“ które Koch zalicza do bacciliów, ale dodaje: „Nie ulega wątpliwości, że one pozostają w *jakimś* stosunku do procesu cholerycznego. *Nie należy* jednak z tego wnosić, *ażeby baccilie te były przyczyną cholery*. Może też być odwrotnie i również przyjąć można, że proces choleryczny wywołuje takie zaburzenia w błonie szluzowej kiszek, iż z wielu ustawicznie tam żyjących bakteryj jakiś ich rodzaj zdoła się wcisnąć w tkankę błony szluzowej.“ Wątpliwość zaś jest tem bardziej usprawiedliwioną, że próby szczepienia zarazka, dokonane na królikach, świnkach morskich, psach, kotach, małpach, szczurach itd. — zawiodły. Ani w jednym wypadku nie wywołano cholery. Koch objaśnia to przypuszczeniem, że może metoda była błędną, albo użyte do doświadczeń zwierzęta nieprzystępne dla cholery, ale żadnego pozytywnego wyniku — jak to mu przypisano — nie ogłasza. Przeciwnie, złożywszy szczególowe sprawozdanie, zamyka je wnioskiem: „Z powyższego przedstawienia wynika, że komisya (której on przewodniczył) w rozwiązaniu postawionych jej pytań nie zdołała posunąć się po za to, co dotychczas zdziałano.“

Skądże więc materyał do otrąbywania „epokowego“ odkrycia? Zasłona, pokrywająca źródło cholery, nie podniosła się przez badania w Egipcie ani o jedną linię, tak dalece, że omylony w swych nadziejach Koch, poprosił rząd o środki na dalsze poszukiwania w Indyach wschodnich, gdzie spodziewa się osiągnąć pomyślniejsze rezultaty. Aż do tego więc przynajmniej czasu nie hodujmy najnowszej kaczki dziennikarskiej i pozwólmy jej odpłynąć w krainę „grzybków cholerycznych.“

T.

LIBERUM VETO.

Daremne wysiłki pamięci. — Praktyczna rada. — Rozczarowanie nas przez p. Lindleya. — Dwie tablice pamiątkowe.—Konieczność umieszczenia trzeciej.—Protest chorych przeciwko terminowości. — Co pocznie p. Adler. — Unikanie pytań. — Nasi nieobecni na pogrzebie Szmitta. — Jeden mniej. — Chmura niemiecka nad Zakopanem. — Jeszcze o syndykacie. — Co go zastąpi!

Przez pewien czas próbowałem spamiętać zapewnienia dziennikarskie o rozmaitych projektach, komisyach, mających wkrótce nastąpić zmianach i uchwałach sfer decydujących, ale dziś już nawet nie liczę wierzb, na których się urodzą gruszki, gdyż prasa, zwłaszcza rosyjska, nasadziła ich za wiele. Gdy teraz spotkam w jakiejś gazecie wiadomość: „wkrótce ma być rozpatrzonym projekt...“, nie kończę, bo wiem, że jutro przepowiedni zapomnę. Ponieważ czytelnicy nasi, a raczej czytelnicy pism codziennych znajdują się może w podobnym kłopocie i również zbrakło im w pamięci komórek na przechowywanie nowych wieści, przeto zalecam im środek, który dla mnie okazał się najskuteczniejszym: żadnej paplaninie dziennikarskiej o gruszkach na wierzbie nie wierzyć, lecz zrywać te tylko owoce, które rzeczywiście urosły i dojrzały.

Jak dalece ten przepis jest wyśmienitym, przekonywa chociażby sama kanalizacya Warszawy. Niech raczy podnieść do góry palce ten, kto nie wierzył w chwili, gdy p. Lindley podpisywał kontrakt z magistratem, że ów p. Lindley szybko skanalizuje nasze miasto? A przecie i to okazało się złudzeniem, bo mistrz od rur śmieje się z nas w Londynie i zaszczyca Warszawę swą obecnością po to tylko, ażeby pokazać, że ona go posiadła nie na dni powszednie, ale świąteczne. Takim dniem była właśnie uroczystość wmurowania „pierwszej cegły,“ czy też — jak inni utrzymują—dwu tablic pamiątkowych za rogatkami powązkowskiemi. Jedna z nich nosi napis: „na pamiątkę rozpoczęcia (!) budowy kanalizacyi miasta Warszawy, według projektu i *pod kierunkiem* W. Lindleya i jego synów itd.“ Dziateczki szan. inżeniera dostały się na tablicę z względną słusznością, ale co do samego papy, to ktoś w *Kuryerze Codziennym* dowodzi bardzo zasadnie: „Ponieważ nieustanna nieobecność pana W. Lindleya (ojca) bardzo wiele sprawie kanalizacyi zaszkodziła i jest główną przyczyną zwłoki w robotach; ponieważ tenże pan W. Lindley nie znajdował się przy zawieraniu kontraktu z Lindleyami, ojcem i synem; ponieważ wreszcie nikt nigdy przy kierownictwie, pana W. Lindleya (ojca) nie widział i niezawodnie widzieć nie będzie, twierdzimy przeto, iż ów dodatek: „i pod kierunkiem inżeniera W. Lindleya“ nie ma żadnej racyi bytu, a jako zawierający w sobie fałsz, winien być bezwarunkowo z tablicy usuniętym.“ Jeśli to nie nastąpi, wnoszę umieszczenie tablicy trzeciej z powyższem wyjaśnieniem. Bo skoro p. Lindley ma przejść do potomności, niechże przejdzie we właściwej roli.

Kanalizacyi więc nie mamy i nieprędko ją mieć będziemy, skutkiem brudu miasta i wyziewów choroby się mnożą, a tymczasem chorować nie wolno. Pomijam utrzymujących siebie i rodziny zarobkiem dziennym; ale co pocznie osobnik, pobierający stałą pensyę, gdy go niemoc zatrzyma w łóżku po za termin, na tego rodzaju zbytki wyznaczony? Co pocznie np. p. Adler, aktor, który nie może wyleczyć się w ciągu dwu miesięcy, a dłużej ma prawo leżeć tylko na własny rachunek? Nie wiem, ile ten człowiek, bity i poniewierany w każdej niemal komedyi jako lokaj, ma lat, ale w każdym razie ma ich tyle, że na nową drogę zawodu nie wstąpi i po starej do kresu życia dojść musi. No i niedaleko przed tym kresem zachorowywa — ubogi, a słabość przepisom zwierzchności teatralnej poddać się i po dwu miesiącach ustąpić nie chce — cóż więc nieszczęśliwy zrobi? Kto na to pytanie da odpowiedź bez ironii lub okrucieństwa? Szkoda, że my wogóle stawiamy sobie pytania zbyt rzadko. Psychologicznie — nic dziwnego, bo w każdem z nich kryje się ukojony wyrzut sumienia, ale społecznie — dziwnem to jest bardzo.

Bardziej, niż postępek prawicy sejmu lwowskiego, która odmówiła zawieszenia obrad z powodu pogrzebu H. Szmitta. Zwykle nad grobem uczciwego szermierza wojujące stronnictwa na chwilę zawieszają broń. Ale tak bywa gdzieindziej — w Niemczech, gdzie parlament bez różnicy przekonań uczcił niedawno śmierć Schultze-Delitscha (postępowca), we Francyi, gdzie waśnie zamilkły przed trumną Gambetty, w Anglii, gdzie również je uciszył powszechny żal po Disraelim. „U nas—inaczej.“ U nas trzeba było się pobić, lub jeszcze bardziej od siebie odskoczyć wobec świeżej mogiły. Nie podzielam wszakże z kilkoma pismami pretensyi do galicyjskich folblutów za to, że swą obecnością nie zaszczycili pogrzebu głośnego historyka i — demokraty. Oni są stworzeni do „nieobecności“ tam, gdzie prawdziwy obywatel kraju znajdować się powinien. Zresztą, bądźmy konsekwentni. Jeżeli ci panowie nie mają dość serca, żeby umarłemu przeciwnikowi przebaczyć, to nie wymagajmyż od nich tyle poświęcenia się, ażeby go do grobu odprowadzali. Tylko jeden, jedyny człowiek nas dziwi: dr. Zyblikiewicz, który, jako marszałek sejmu, winien stać po nad partyami, a który usunął się od udziału w pogrzebie z powodu... balu. Ostatecznie bracia w panu... Tarnowskim i Potockim — cieszcie się, bo oto zszedł znowu z tego świata człowiek czerwony, upior demokratyczny, który wessał się nietylko w naukę i sejm, ale nawet w Radę szkolną! Jeden mniej — zawsze to korzyść. Był już za stary, ażeby budzić obawy w Olimpie „pod baranami,“ ale niepotrzebnie istniał i przypominał sobą te grzechy przeciwko duchowi św. arystokracyi, które ona najsurowiej karze.

A może panowie galicyjscy nie mieli czasu na uczestniczenie w ostatniej usłudze dla nieboszczyka, bo pobiegli na ratunek Zakopanemu, mającemu przejść w ręce niemieckie? Tak by należało wnosić z błagalnych wołań i nadziei kilku pism, przekonanych, że panowie polscy nie pozwolą ks. Hohenlohemu nabyć uroczej kotliny i zamknąć Tatr dla podróżników. Ja o tem wszystkiem wątpię. Zakopane — to miejscowość bardzo urocza, siedziba niezmiernie sympatycznego ludu, królestwo czcigodnego człowieka, ale na co to wszystko panom, zwłaszcza, że górale niezbyt nisko się kłaniają a dość wysoko głowy noszą. Gdybym miał pieniądze, kupiłbym Zakopane i darował jego ojcu czy kochankowi — Chałubińskiemu. Ponieważ zaś nie mam, więc tylko przypuszczam, że pod Giewontem żaden pałac arystokratyczny nie stanie. Chociaż, wyznaję, dreszcz zimny przebiega mnie na myśl, że biedne Tatry pójdą w jassyr giermański.

Kronikarz *Tygodnika Ilustrowanego*, zgadzając się ze znaczną częścią wywodów *Prawdy* przeciwko syndykatowi literackiemu, utrzymuje jednak, że tego rodzaju instytucya nie byłaby bez pożytku, bo oczyściłaby może prasę naszą z rozrastającego się w niej chwastu. Nie sądzę. Jaką władzą i jakim środkiem? Publiczną naganą? Skutkowałoby to o tyle, o ile skutkują dzisiejsze karcenia. Zresztą, gdzie rękojmia, że ta stronniczość, która reguluje nasze stosunki literackie, która dla względów taktycznych w walce pozwala gwałcić najpierwsze zasady sprawiedliwości, nie przekradłaby się do samego trybunału? Każdy może powierzyłby swą sprawę do rozsądzenia Jenikiemu, Pługowi, Chmielowskiemu, Głowackiemu, Kenigowi, Smoleńskiemu, Leowi, Oskierce i wielu, wielu innym, z pomiędzy których ja bym nie wyłączył (zdziwienie w *Kuryerze Warszawskim!*) p. Szymanowskiego; lecz ilu tych przysię-

głych razem byłoby godnych swego urzędu i zaufania? Ale najważniejsza rzecz, którą akcentuję ponownie: nie wyłączajmy się ze społeczeństwa jako kasta, cech, lecz bądźmy jednym z jego organów, który podlega prawom całego ustroju, zwłaszcza że do walk i skarceń mamy potężny oręż: słowo publiczne. Zamiast więc syndykatu wystarczy nieco więcej odwagi, która nie boi się wrzasków, sztucznych oburzeń, a nawet ofiar. Tego nam rzeczywiście potrzeba, a opinia publiczna będzie zawsze jasną, i tylko gdzieś tam w kątach da się zaciemnić.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Ciepłe kąpiele i wystawy starożytności narodowych.— Praktyka dra Stanisławskiego w Sieradzu. — Niewinne pogadanki partych potrzebą inżenierów. — Gallowie w Radzynku. — Wyświęcenie dwu rzezimieszków na „znanych." — Zniesienie dziesięcin i moja podróż po piekle.

Nie czując w sobie dość silnych pulsów życia, zanurzamy się chętnie w ciepłej kąpieli dawnych wspomnień. Podumawszy tkliwie nad karabelą Sobieskiego, ubieramy się w szlafrok i — w najlepszym razie — studyujemy nieocenionego *Kuryerka*. Czasem znów widok zbroi dawnej usposobi nas tak wojowniczo, że zaczynamy walczyć zajadle na zielonem polu, dopóki starczy sił i świec stearynowych. Pomimo to wszystko łudzimy się jeszcze, że ciepłe kąpiele „dobrze nam robią," że wystawy starożytności narodowych budzą ducha naszego z uśpienia. Złudzeniom podobnym uległ teraz dr. Stanisławski z Sieradza. Przypuszczał on zapewne, iż ziomków jego obchodzi silnie to, co nie daje 20% czystego dochodu.

Rzecz godna uwagi. Sieradzką wystawę polskich starożytności, urządzoną staraniem doktora na korzyść ubogich, odwiedzają przeważnie okoliczni ziemianie; z miasta mało kto odważył się porzucić zielony stolik dla jakichś tam „starych rupieci." Przeszłością dziejową interesują się ci tylko, co w niej szczęśliwszy brali udział. Gdyby tak było w istocie, to obojętność innych byłaby chyba karą za stare grzechy. Pocieszmy się jednak — wszyscyśmy lepsi — i miejscy i wiejscy. Z tych ostatnich bowiem niejeden chciał zapewne zobaczyć po prostu, jak wygląda na wystawie jego starożytna kanapa, lub tabakierka jego sąsiada, inny zaś pragnął dla dobra narodu „przewietrzyć się" trochę w miasteczku, a przytem „Mania potrzebowała koronek, a Zosia — *takich* błyszczących guziczków!"

Parci potrzebą „przewietrzenia się" i pogadania austryaccy i tutejsi inżenierowie zjeżdżają corocznie do Krakowa, aby pogwarzyć z sobą o regulacyi brzegów Wisły. Pogadanki owe wobec małych, na cel powyższy przeznaczonych funduszów nie pociągają zresztą żadnych złych następstw. Rozumie się, że Wisła, jako istota rozumem od stwórcy nieobdarzona — nic o zbyt szczupłych asygnacyach nie wie i udaremnia wysiłki inżenierów. Przyprowadzenie do porządku swawolnicy mogłoby się odbyć tylko przy pomocy znacznie większych nakładów — i to jak twierdzą znawcy — robotę należy prowadzić odrazu na całej prawie długości rzeki... Tymczasem radziłbym pp. inżenierom, dla zabicia czasu, zająć się obrachowaniem: ile stóp sześciennych wody upłynie w tejże Wiśle, zanim oni ją ucywilizują?

Niemało jej zapewne w morzu utonie do czasu, gdy słowa: *znany opryszek, powszechnie wiadomy zbójca*—przestaną kalać szpalty naszych dzienników. *Znany* i swobodnie działający rzezimieszek wygląda tak, jak tolerowany tyfus, lub starannie pielęgnowana filoksera. Rozumie się, że nasi lekarze i ogrodnicy społeczni mogą powiedzieć na to: *de gustibus non est disputandum*; pragnąłbym jednak, aby te ich upodobania zostały całkowicie przeszczepione na grunt dla nich żyźniejszy... Tymczasem — jak donosi *Wiek* — hodowla szkodliwych pasorzytów nie ustaje u nas bynajmniej. Niedawno w Radzynku (pow. rypiński) odbyło się wyświęcenie dwóch zwykłych nieponiów na „znanych." Szczegóły obrzędu są takie. Pewnej nocy dwóch „hajdamaków szwarcunku," podchmieliwszy sobie należycie, zapragnęło smacznej zakąski. W tym celu u jednego z miejscowych włościan ukradli trzy ptaki, których mianem nazywamy jedną połowę ludzkości, jeżeli ona jest o tyle ograniczoną, o ile piękną. Gęsi — przykładem przodków nauczone— zaczęły głośno krzyczeć na widok zbliżających się gallów. Właściciel ich wraz ze swym sąsiadem pośpieszył biedaczkom na ratunek: został jednak obity (również z sąsiadem) i cofnął się z kwitkiem, ale bez ptaków. Gallowie, upojeni zwycięstwem, wrócili jeszcze do chaty wieśniaka i „pod pozorem ścigania defraudantów zaczęli tłuc, kogo napotkali, strzelać z rewolwerów i podkładać gorejące zapałki pod strzechę domu... Nikt, nawet sołtys, nie wiedział, co począć... Wezwany na pomoc miejscowy dziedzic jął mitygować ich animusz rycerski, lecz wszelkie tłomaczenia nie skutkowały; przeciwnie, hulający pan Chłodny wycelował w niego rewolwer." Udało się w końcu pokonać jednego z napastników; drugi uciekł i dzisiaj obu ciekawy czytelnik zobaczyć może... na wolności. Smutne to jest, ale może rzezimieszkowie ci będą już teraz „znani" — przynajmniej w Radzynku.

Pisma nasze codzienne za głosem gazet rosyjskich doniosły o mającem wkrótce nastąpić całkowitem zniesieniu kościelnych i cerkiewnych dziesięcin, jako też i pensyj, wypłacanych za nie w 10 guberniach zachodnich. O ile smuciłbym się podobną wieścią, gdybym w niej dostrzegł jakąś *jednostronność*, o tyle ucieszyłem się teraz, że cerkwie i kościoły jednakim podlegają przepisom. To dobre! — mówiłem sobie; mogę się przecie weselić, nie narażając się na zarzut „czyhania na najdroższe spuścizny." Radością moją podzieliłem się z pewnym przybyszem z nad Niemna i Wilii. Osobnik ów odpowiedział mi na to: —Bądź spokojny nic nam nie będzie! Ludek nasz jest *pobożny*.

Przy tych słowach wyjął z kieszeni i podał mi małą książeczkę. Myślałem, że kalendarzyk, ale tytuł był jakoś nie kalendarzowy. Zacząłem czytać: „Przeraźliwe echo trąby ostatecznej albo cztery rzeczy ostatnie człowieka czekające. *Wilna* 1881 r. nakładem Blumowicza." Autorem „przeraźliwej" książeczki jest jakiś ksiądz Bolesławiusz, św. teologii lektor i definitor, a samo arcydzieło jego świeżo właśnie „ku przestrodze w chrześciańskich uszach odnowione i na nowo na światło wydane."

Z tytułu wniosłem zaraz, że autor mało musiał wydawać *na światło* — za młodu, ale znajomy mój, zmusiwszy mię do otworzenia książczyny, wprowadził w odmęt piekielnych okropności. Musiałem więc dowiedzieć się: o „padole straszliwym" o „bestyi dziwnej a straszliwej" o „tarasie (?) piekielnym" o „kuźni piekielnej" o „bestyi skrzydlatej i jeziorze mroźnem" i o „studni piekielnej." W tej ostatniej przekonałem się, że właściwie:

„Piekło jest to kraj niewymownie wielki,
Długi, głęboki nad obyczaj wszelki,
W pośrodku ziemi czartom zbudowany,
Złym duchom dany.

A nadto, że tam

...potępieńcowie
Ciągle głód srogi cierpią wycieńczeni,
Zaczem jakby psi wściekli rozjuszeni
Ciało na sobie zębami kąsają,
Wrzeszcząc zgrzytają.

Po przeczytaniu tego wszystkiego drżałem jak w febrze.

— Mój drogi — mówię do przybysza — może wy chcecie, abym i ja płacił dziesięciny? To i owszem — ja tylko tak sobie — żartowałem.

— A widzisz!

Maryan Bohusz.

Berdyczów. Herszt rozbójniczej bandy, niejaki Kostiukow, został nareszcie schwytany. Ośmielony długotrwałą bezkarnością opryszek rozzuchwalił się do tego stopnia, że w biały dzień na ulicy zaczął strzelać z rewolweru do przechodniów; wtedy dopiero policya rozbroiła go i aresztowała.

Latyczów. W miasteczku Zinkowle, podczas nabożeństwa w synagodze pękło szkło od lampy, zawieszonej w pobliżu galeryi, przeznaczonej dla kobiet. Z tego powodu pomiędzy modlącemi wszczął się straszny popłoch. Ktoś krzyknął „gore;" wszystkie kobiety rzuciły się do wyjścia, tłoczono się i duszono na schodach. Około 50 osób umarło, tyleż jest ciężko rannych; pomiędzy pierwszemi znajdowało się kilka w ostatnim okresie brzemienności.

Krzemieniec. Oryginalnie tłomaczą miejscowe władze przepisy, dotyczące osiedlania się żydów po wsiach. Na święta, gdy mnóstwo izraelitów przybyło do miasta, policya zaproponowała im natychmiastowy powrót do domu, grożąc, że w razie, jeżeli zabawią w Krzemieńcu dłużej nad dwa dni, będzie to uważanem za opuszczenie miejsca zamieszkania, do którego nie będą mieli prawa wrócić.

Przedborz. Kilku miejscowych kupców nabyło u jednego z okolicznych obywateli partyę żyta w ilości 700 korcy, na którą dali 100 rs. zaliczki. Ponieważ tranzakcya okazała się dla nich niekorzystną, namówili więc lokaja, żeby wykradł kontrakt. Obywatel nie dał jednak za wygranę i rozpoczął sprawę; wtedy wspólnicy dla zatarcia śladów przestępstwa zamordowali lokaja i usiłowali otruć jego żonę. Przestępstwo wydało się, zbrodniarze siedzą już w więzieniu, tylko główny winowajca Tenenbaum zbiedz zdołał.

Kijów. W osadzie Borszczanówka wójt miejscowy, pokłóciwszy się z dwoma pijanymi włościanami, wsadził ich do kozy. Po niejakim czasie dom, w którym mieścił się areszt, zapalił się z niewiadomej przyczyny. Straży nie było wcale, wójt zaś zabrał klucze i poszedł do domu. Zanim wyrąbano drzwi nieszczęśliwi więźniowie spalili się żywcem.

Rypin. We wsi Oborach włościanka, matka kilgorga dzieci, pokochawszy młodego parobka, postanowiła pozbyć się niemiłego męża i w tym celu poczęstowała go zatrutą śmietaną; małżonek poczuł niezwykły smak i powziął podejrzenie. Nakarmiony pies zdechł natychmiast. Wtedy mąż pobiegł na wieś po sołtysa, lecz powróciwszy, nie zastał już żony, która skorzystała z jego nieobecności i wraz z kochankiem uciekła.

Wilno. Z powiatu dziśnieńskiego kilkuset włościan, wskutek odezw, rozsyłanych po gminach, wyjechało do gubernij Samarskiej i Orenburskiej. Przesiedleńcom nie szczędzono obietnic, ale po przybyciu na miejsce okazało się, że wyznaczone dla nich grunta zajęli inni koloniści; dano im więc kawał stepu, oddalony o kilkadziesiąt wiorst od najbliższej osady. Zniechęceni, straciwszy prawie wszystko, powracają teraz emigranci do domu o proszonym chlebie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 października.

Delegacye austryackie. — Walka Ferrego z radykałami.—Zaloty o rękę Turcyi. -- Zwycięstwo socyalistów w Niemczech.—Rozruchy w Portugalii

W dniu wczorajszym nastąpiło otwarcie aż dwu parlamentów: delegacyj wspólnych austryacko-węgierskich i francuskiej Izby deputowanych. Obrady w Wiedniu nie przyniosą nam zapewne nic nowego; zaznaczyć tylko wypada, że prezesem de-

legacyi przedlitawskiej wybrany został ks. Konstanty Czartoryski. W Paryżu rząd i opozycya gotują się do gorącej walki. P. Ferry zerwał widocznie z radykalizmem i przechylił się ku lewemu środkowi. Ale nieprzejednani nie zasypiają sprawy; co prawda, wojują głównie odezwami do ludu, w których oskarżają rząd o rozmaite przestępstwa. Na czele opozycyi otwarcie stanął Clemenceau, około niego kupią się żywioły skrajne i ci, którzy — jak np. zięć Grevego Wilson — z pobudek osobistych niechętni są istniejącemu gabinetowi. Trudno przewidzieć następstwa tego starcia; zwycięstwo radykalnych nie jest bowiem niemożliwem. Ratując zagrożone stanowisko, Ferry zamierza podobno wskrzesić pogrzebane projekty Gambetty a nawet zezwala na utworzenie centralnego merowstwa w Paryżu; ale te wiadomości nie licują wcale do świeżo zawartego sojuszu ze stronnictwem umiarkowanem.

W braku odpowiedniego materyału gazety szeroko rozpisują się o misyi Muktara-baszy w Wiedniu i Berlinie. Rezultatem jej ma być zupełne porozumienie się Turcyi z mocarstwami środkowo-europejskiemi. Wynikła nawet z tego powodu polemika między dziennikami rosyjskimi i niemieckimi, z których każdy stara się przekonać Turcyę o korzyściach, jakie na nią spłynąć mogą z odnośnych związków.

Wybory do rady miejskiej w Berlinie wskazują ciągły wzrost stronników socyalizmu. Pomimo utrudnień, jakie na każdym kroku stawił im dotychczasowy zarząd, prawie wyłącznie złożony z postępowców, socyaliści otrzymali kilka miejsc a na 13 wyborach uzupełniających zyskają jeszcze więcej, zwłaszcza że antysemici z nienawiści do żydowskiego liberalizmu ofiarują im swoje poparcie.

W Portugalii zaszły rozruchy, którym gazety przypisały zrazu charakter republikański. Okazuje się jednak, że rzeczpospolita posiada tam bardzo niewielu zwolenników; zaburzenia zaś w Oporto i sąsiednich, północnych prowincyach są czysto rolnej natury. Włościanie opierają się dotąd szczęśliwie wojsku, żądając zniesienia podatku zbożowego i innych reform w tym duchu. Z tego powodu nastąpiła już częściowa zmiana gabinetu: minister komunikacyj i robót publicznych, znienawidzony za zdzierstwa i sprzyjanie spekulantom, ustąpił.

Na wyspie Sardynii rząd włoski zamianował gubernatora wojennego, któremu poruczono pieczę nad śpiesznem wykończeniem robót fortyfikacyjnych; nominacya ta, w związku ze schwytaniem w Korsyce pruskiego szpiega i nowymi projektami wzmocnienia armii włoskiej, zaniepokoiła francuskie sfery wojenne.

Peszt. W redakcyi *Függetlenségu* znaleziono papiery, rzucające nowe światło na sprawę tisza-eszlarską, zwłaszcza na zeznania młodego Szarfa i na postępowanie władz śledczych.

Paryż. Challemel-Lacour złożył w Izbie sprawozdanie, głoszące, że warunki, postawione przez rząd chiński, są niemożliwe do przyjęcia.

CUDZE GŁOSY.

Semper idem. *Ruś* (jak się dowiadujemy z *Gazety Polskiej*), odpowiadając na użalania się dzienników austryackich, przytacza cały szereg faktów, nieulegających według niej zaprzeczeniu a rzucających wręcz przeciwne światło na wzajemne stosunki dwu państw.

„12 czerwca we Włodawie podczas badania przeprawy przez rzekę Bug (na południe od twierdzy brzesko-litewskiej) przyaresztowano porucznika pułku austryackiego pionierów, Nagego, i odesłano do Warszawy, a tam go wypuszczono na wolność.

Wślad za tem na tejże przeprawie w pobliżu naszej twierdzy brzesko-litewskiej 21 czerwca podczas badania wojskowego przyaresztowano kapitana sztabu jeneralnego austryackiego, Rodanowicza, który również po odesłaniu go do Warszawy i sprawdzeniu tożsamości osoby został oddanym do rozporządzenia władz pogranicznych austryackich.

Obaj ci oficerowie przybyli na zwiady na terytoryum nasze oczywiście nie dla własnej ciekawości, ale dla celów praktycznych wojskowego zarządu austryackiego. Są to zresztą niedogodne dla nas swawole osób pojedynczych, lecz oto mamy i inne fakty."

Dalej *Ruś* przytacza, że w gubernii kieleckiej zjawił się oddział ułanów austryackich, którego dowódzca najspokojniej w świecie badał miejscowość oraz sporządzał plan okolicy. Przy spotkaniu z oddziałem rosyjskim zachowywał się grubiańsko i z pogardą traktował rosyjskiego porucznika Boholepowa.

„27 września powtórzyło się przekroczenie granicy naszej przez oddział uzbrojony; tym razem przeszło przy kordonie „Złamana - Granica," 14-u ułanów austryackich pod dowództwem oficera i udało się do wsi naszej Niesułowice, gdzie na żądanie władz naszych,—miejscowego dozorcy punktu granicznego przechodowego,—ułani oddalili się napowrót do wsi austryackiej Płoche. Dowódcą tych ułanów był porucznik Kossak, syn znanego malarza krakowskiego."

Z powodu tych faktów *Ruś* zapytuje: „Czyż rząd rosyjski nie posiada sił i środków do położenia kresu temu urzędowemu grubiaństwu?" Oburzenie jednak moskiewskiej gazety niema silnych podstaw, bo nawet *Nowoje Wremia*, cytując powyższy artykuł, przyznaje, że „wypadki takie nie powinny budzić zbytecznej obawy, bo zdarzało się nam słyszeć od ludzi wojskowych, że to są rzeczy dość zwykłe."

Skuteczny środek. Spotwarzająca nas codziennie *Neue Freie Presse* ma odpokutować ciężko za wszystkie obelgi i potwarze, jakich nie szczędzili nam jej redaktorowie, jeżeli wiadomość podana przez *Gazetę Narodową* okaże się prawdziwą. Korespondent krakowski tego dziennika pisze bowiem (według *Kur. Codz.*).

„Oburzenie przeciw centralistycznemu dziennikarstwu, a zwłaszcza przeciw *Neue Freie Presse* wzrasta z dniem każdym tak na prowincyi, jak tu w Krakowie. Artykuły jej pisane z powodu odsieczy wiedeńskiej przepełniły miarę cierpliwości.

W tych dniach więc ma się tu odbyć zgromadzenie ludowe, które zaprotestuje przeciw niegodziwym potwarzom wiedeńskiego dziennika (który nazwał armię Sobieskiego bandą rabusiów) i wezwie obywatelstwo do nadania dotykalnego wyrazu powszechnemu oburzeniu, a to przez publiczne spalenie pomienionego dziennika i stanowcze zaniechanie prenumeraty jego.

Jeśli życzenie to zostanie ściśle wypełnione w całym kraju, ubędzie jurgieltniczemu organowi jakie 10 do 13 tysięcy abonentów, na których mu zapewne wiele zależy. Będzie to najdotkliwsza dłań kara.

Abonenci ci przeważnie składają się z właścicieli restauracyj, kawiarni i izraelitów. Niechże ci ostatni złożą teraz dowód solidarności swojej z narodem."

Zawodny sprzymierzeniec. *Nowoje Wremia* tylokrotnie za nogi ściskane przez naszych antysemitów, wypiera się solidarności w działaniu, uważając, że zalecane przez pewien organ warszawski sposoby walki na polu ekonomicznem nie dadzą się zastosować do Rosyi i nie prowadzą dość szybko do celu. W końcu dziennik petersburski przychodzi do następujących wniosków.

„Współczujemy walce inteligencyi polskiej z żydowstwem, o czem też już pisaliśmy nieraz; ale czujemy tu potrzebę zastrzedz się, że błędem byłoby wnosić z tego o jednorodności dążeń społeczeństwa polskiego w kwestyi żydowskiej z kierunkiem, jaki jest pożytecznym dla właściwej Rosyi. Według otrzymywanych przez nas wiadomości, polscy antysemici pracują przedewszystkiem dla siebie i niewątpliwie zapatrywalibyśmy się sympatycznie na rozrzucenie żydów po całej Rosyi, gdybyśmy dali się unieść ślepemu naśladownictwu ich sposobów walki i zapomnieli, w co zamieniali się żydzi nawet w wysoko ucywilizowanych krajach."

Jakie zaś są sposoby, które zamierza doradzać organ p. Suworyna, o tem sam on zapewne nie wie, albo swych myśli dośpiewać nie chce.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Minister oświecenia rozesłał do kuratorów cyrkularz, w którym kładzie nacisk na zaburzenia, wydarzające się w ostatnich czasach prawie co rok we wszystkich zakładach naukowych zaraz po rozpoczęciu lekcyj. Główną uwagę zwraca p. minister na wpływy jednostek, wydalonych za złe prowadzenie się i pozostających w jakichbądź stosunkach z uczącą się młodzieżą. Osoby te wabią ku sobie młodych ludzi, namawiają ich do organizacyi korporacyjnej, do brania udziału w zakładaniu kas, w zebraniach, obradujących nad sprawami studentów itp., co jest wzbronione na mocy istniejących przepisów.

Ludziom tym dobrze wiadomo, że rząd nie zmieni owych przepisów, które uznaje za bezwarunkowo użyteczne dla dobra uczących się. Rachują oni jednak, że zajścia i nieporządki doprowadzą do wydalania uczących się masami i że wskutek tego wynikną niezadowolenia śród rodzin i społeczeństwa.

Cel ten niejednokrotnie bywał osiągany, pomimo usiłowań przeciwdziałania za pomocą wyjaśnień i perswazyj; upór agitatorów, zręcznie ukrywających się po za tłumem młodzieży lekkomyślnej, naoślep dążącej za danym popędem, zmusił nakoniec władzę do stosowania środków surowości, a więc i do wydalania uczniów w znacznej liczbie.

Obecnie ministeryum odbiera mnóstwo próśb od wydalonych, którzy, wynurzając szczery żal, proszą o pozwolenie wstąpienia napowrót do zakładów naukowych; ale prośbom tym zadość uczynić nie można. Ministeryum bowiem uznaje za niewłaściwe zmieniać postanowienia zwierzchności miejscowej; te zaś odmawiają przyjęcia wydalonych, ażeby nie wprowadzać pomiędzy uczącą się młodzież nowego żywiołu wzburzenia.

Ministeryum, chcąc uchronić uczącą się młodzież od zgubnych wpływów, prosi pp. kuratorów i wszystkie władze zarządu naukowego o wyjaśnienie studentom znaczenia i celu zwodniczej ułudy, oraz tego:

1) że dopóki zostają w zakładach naukowych, nie są żadnymi działaczami politycznymi, tylko uczniami;

2) że wstępując do zakładów, na zasadzie ustanowionych przepisów z góry im objaśnionych, już tem samem przyjmują obowiązek spełniać je; w razie zaś niechęci wypełniania tych przepisów lub też uznawania ich za uciążliwe, wolno im przecież opuścić zakłady, w których się kształcą;

3) iż wszelkie ze strony ich manifestacye, domagania się i zuchwalstwa muszą mieć dla nich następstwa najsmutniejsze i że przez to stawią rząd w konieczności żądania z większym jeszcze naciskiem, aby wypełniane były ściśle przepisy uznane przezeń za pożyteczne i aby karano tych, którzy się im nie poddają lub też biorą udział w jakichbądź demonstracyach.

Teatr. Na scenie naszej obecnie popisuje się para śpiewaków włoskich bardzo nierównej wartości. Pani Varesi, sopran koloraturowy, o niewielkim głosie, odznacza się wyborną metodą oraz wysoce artystycznem i subtelnem traktowaniem każdej roli. Szczególnie partya Gildy w *Rigolecie* daje artystce pole do rozwinięcia powabów koloratury i wdzięków oraz inteligencyi gry scenicznej. O panu Defalco, tenorze, można tyle powiedzieć, że jest śpiewakiem bardzo dobrych chęci i niezłej szkoły, że nie oszczędza się, śpiewa wszystko, co inni wyrzucają, ale dźwięki płyną z jego krtani dość martwo a głos nie posiada przyjemnego brzmienia.

— Na scenie Teatru Wielkiego debiutowała trzykrotnie pani Wellin-Cieślińska, b. artystka sceny poznańskiej. W *Iskierce* Paillerona skusiła się na wdzięczną, ale bardzo trudną rolę Antolki. Artystka nie sprostała wszystkim trudnościom roli, ale okazała dosyć scenicznej swobody i pewien stopień rutyny, który ją czyni aktorką użyteczną.

— Teatr Mały wystawił w tych dniach aż dwie nowości: operetkę Lacome'a *Piękny chłopiec* i komedyę Sardou'a i Barrlère'a *Nerwowi*. Operetka grzeszy dość pospolitym tekstem, ale zaleca się zgrabną muzyczką. Farsa należy do dawniejszego już repertuaru i nie zdumiewa nadmiarem smaku lub rozumu, chociaż śmieszy do rozpuku nadmiarem karykaturalnego komizmu. P. Morozowicz głównie ozdobił jej znośne wogóle wykonanie.

Ogródki Fröblowskie muszą się bronić przeciw bardzo silnemu atakowi. Okulista frankfurcki, dr. Steffan, wystąpił z dowodzeniem, że zajęcia w tych zakładach (wykłuwanie, wyszywanie itd.) wpływają bardzo szkodliwie na oczy dzieci, gdyż zmuszają je do robót drobnych, wymagających wielkiego natężenia wzroku.

Konkurs. Dyrekcya berlińskiej „Kunstgewerbehalle" zamierza w listopadzie urządzić wystawę dziecinnych lalek z nagrodami (300, 200 i 100 m.) za najlepiej pomyślane. Jestto nadzwyczajnie rozumne przedsięwzięcie, bo niezmierna zbytkowność tych wyrobów uczyniła je dziś przystępnemi tylko dla dzieci rodziców bogatych.

Pracownia chemiczna do badania napojów i pokarmów, mogących ulegać zafałszowaniu, założoną została... w Jeddo. Teraz chyba kolej na Warszawę.

Odmowa. Znany pisarz rosyjski, hr. Leon Tołstoj odmówił udziału w sądzeniu spraw jako przysięgły z powodu swych przekonań religijno-moralnych, niepozwalających mu potępiać nikogo.

Nowy rodzaj „pogromu" zdarzył się w Aleksandrówce (gub. czernichowskiej). Z obawy zaburzeń żydzi z sąsiednich wiosek przenieśli się do tego miasteczka. Namnożyło się bez liku szynkarzów i przekupniów, współzawodniczących o kawałek chleba. W końcu instynkt zachowawczy wziął górę nad solidarnością plemienną i pewnego pięknego poranku tubylcy rzucili się na kramy i sklepy i poniszczyli lub porozrzucali towary po rynku. Dopiero policya uśmierzyła zajadle walczących.

Dziwna obojętność. Redakcya *Inżenieryi i Budownictwa* rozesłała 10,000 szematów, które, wypełnione według danych wskazówek, posłużyć miały za materyał dla oceny przyrodzonych bogactw kraju. Po upływie roku zwrócono redakcyi tylko 20 zapisanych kartek.

Konsul-rozbójnik morski. Od lat kilku korsarstwo rozwinęło się w znacznym stopniu na morzu Azowskiem. Rząd rosyjski przedsięwziął energiczne środki dla wykrycia winnych. Śledztwo wykazało, iż jednym z najczynniejszych członków bandy był konsul angielski w Kerczu. Ptaszek zdołał umknąć do Konstantynopola, ale ambasador rosyjski zażądał wydania go.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. M. Z. Wkładasz pan na nas zadanie zbyt trudne, zobowiązując do sporu z twierdzeniami, które nie mają ścisłej podstawy naukowej, lecz są raczej wyrazem dobrego lub złego humoru. Odpowiadamy jeszcze, ale z prośbą, żeby już po raz ostatni. Poprzednio autor ten napisał: „Można np. powiedzieć, że szklanka, postawiona na stole, przejdzie przez deskę tego stołu i znajdzie się pod stołem, jeżeli czwarty wymiar tejże szklanki jest tak mały w stosunku do czwartego wymiaru drzewa, iż na to pozwala. Szklanka przechodzi tu przez deskę tak, jak cienka igła przez płótno, nie zostawiając śladu swego przejścia." W całym tym ustępie nie ma żadnej ścisłości logicznej. Bo najprzód, jeżeli igła tak przebija płótno, że nie zostawia śladu swego przejścia, to tylko dzięki temu, iż wymiary jej poprzeczne są mniejsze, niż wymiary jednej kratki płóciennej, że więc ma wolne miejsce. Analogii zatem między igłą i płótnem z jednej strony, a szklanką i deską z drugiej, w przypuszczeniu nawet, że ich wymiary czwarte są według myśli autora ustosunkowane — nie ma żadnej. Jeśliby zaś łatwość przebijania jednych ciał drugiemi zależała tylko od stosunku ich odpowiadających sobie wymiarów, to odnosząc regułę przez p. S. wskazaną do ciał trójwymiarowych, możnaby nawet mniemać, że np. kawał drzewa da się przekroić ćwiartką papieru, i to tem łatwiej, im jest grubszy; gdyż powiększając jego grubość, *stosunek* grubości papieru do grubości drzewa staje się coraz mniejszym. Takie przeto tłomaczenie przejścia szklanki przez deskę jest zupełnie błędne, niezależnie od tego, czy istnieją lub nie istnieją dalsze wymiary po za trzecim. Dlatego to w naszej odpowiedzi poprzedniej (nr. 41 *Prawdy*) chodziło nam głównie o przedstawienie tej kwestyi w świetle właściwem. Korzystając zaś ze sposobności, przytoczyliśmy także dowód Kanta (bo są i inne), aby pokazać, że istnienie czwartego i dalszych wymiarów przestrzeni (rozciągłości) jest umysłowo możliwe. P. S. w replice swojej (*K. W.* nr. 272) dowodzenia tego nie zrozumiał; gdyż, uważając powierzchnie ciała płaskiego i bryłowego za analogiczne, popełnił błąd. *Powierzchni* ciała *płaskiego* odpowiada *miąższość* w *bryłowem*, a *obwodowi — powierzchnia*. Dla tej właśnie przyczyny ręce płaskie, którym dozwolono poruszać się tylko w płaszczyźnie, również przystawać do siebie nie mogą, jak cielesne w przestrzeni. A że dopiero wówczas, gdy im wolno poruszać się w przestrzeni, stają się przystawalnemi, więc ręce cielesne takiemi nie są jedynie dla tego, że w naturze wymiaru czwartego niema. To, zdaje się, jest chyba dość jasnem.

Jeżeli zaś można mówić o braku wymiaru czwartego, to on *umysłowo* istnieje. A teraz — skoro istnieją (także umysłowo) ciała gieometryczne: jedno- (linie), dwu- (powierzchnie) i trójwymiarowe, to dla czegożby nie miały istnieć: cztero-, pięcio- i wogóle wielo-wymiarowe?

Jak pan zapewne zauważyłeś, nie było tu dotąd nic takiego, coby wskazywało na ciała gieometryczne *ułamkowo*-wymiarowe. Przeciwnie zaś, uwaga Kanta oraz analogia z liniami i powierzchniami przemawiają dowodnie za możliwością przyjęcia *w gieometryi* ciał wielowymiarowych, i tylko w znaczeniu *całkowitem*. Używając metody gieometryi analitycznej, można te ciała badać, zupełnie tak samo, jak badamy linie i powierzchnie.

Inaczej się rzecz ma z ciałami materyalnemi. Czy one, jako cztero- lub więcej wymiarowe, istnieją — na to, z uwagi, iż ciał materyalnych jedno- i dwu-wymiarowych dotąd nie poznaliśmy, odpowiedzieć by może należało raczej przecząco, aniżeli twierdząco. Z tego właśnie powodu możnaby zrobić zarzut spirytystom, że przypuszczają niewłaściwie medyum czterowymiarowe, skoro wogóle materyi czterowymiarowej przypuszczać nie wolno. Ale i tu mogliby się jeszcze wytłomaczyć tem, że podobnie jak w świecie trójwymiarowym nie ma ciał materyalnych jedno- i dwuwymiarowych, tak w świecie cztero-wymiarowym nie ma jedno-, dwu- i trójwymiarowych.

Ich teorya zatem jest ze stanowiska gieometryi całkiem logiczną. Piąty bowiem i następne wymiary wcale nie przeszkadzają przejściu szklanki z nad stołu pod stół, po za granicami przestrzeni trójwymiarowej, jak się to p. S. zdawało. Tylko, że w przypuszczeniu wymiarów czterech, droga, którąby każdy punkt szklanki opisywał, byłaby pojedynczo, podwójnie lub potrójnie krzywą; w przypuszczeniu pięciu, mogłaby być jeszcze poczwórnie krzywą; sześciu — pięciorako krzywą, i t. d. (D. n.)

X. Y. Utwór posiada wdzięk szczerości, myśl dobrą i niektóre ustępy wyrażone szczęśliwie; ale całość za rozwlekła i nieraz w formie swojej za powszednia.

X. w Pińczowie. Z nadesłanej korespondencyi chcieliśmy, ale nie mogliśmy zrobić użytku. O dalsze doniesienia prosimy.

OFIARY.

Na grobowiec Bolesława Śmiałego. Krężelewski rs. 1. Bajkowski z Mijakowa rs. 3. T. O. z Olszanicy rs. 3.

Bajkowskiemu z Kijowa. Rs. 4 na pom. Mic. odebrano.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Ценэурою. Варшава, 14 Октября 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski.